MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 10. WARSZAWA, 10 MARCA 1935 R. CENA NUMERU 80 GR.

O GOSPODARKĘ W SZKOŁACH

SPORY, które się toczyły między mniejszością a większością tej Wysokiej Izby,[1]) dotyczyły, między inemi, dwuch kapitalnych zagadnień: nowej ustawy szkolnej i nowej ustawy akademickiej. Ani mi w głowie powracać do nich szczegółowo, byłoby to, jak doświadczenie uczy, zupełnie bezcelowe. Co do pierwszej — przedstawiciele mojego obozu, nie negując potrzeby reform, przestrzegali przed niewskazanym pośpiechem, przed szkodliwością fikcyj i przed upośledzeniem biednego człowieka. Wszystkie zarzuty, podówczas stawiane, niestety sprawdziły się. Zapanował chaos, przeciążenie nauczycieli, zaprzągnięcie ich do roboty, nie odpowiadającej ich zawodowi, mówiąc delikatnie. Brak szkół elementarnych, niesłychany wzrost analfabetyzmu, przyczem liczbę analfabetów jedni podają na 6 miljonów, a inni jeszcze wyżej, i gwałtownie powiększające się zapotrzebowanie podręczników, które uzupełniano pośpiesznie, na kolanie tworzonemi tworami (nawet w pismach półurzędowych doczekały się bezwzględnej krytyki i sarkazmu). A tu przybywa co roku pół miljona dzieci i żadna propaganda świadomego macierzyństwa temu nie zaradzi.

Nakazem więc chwili było dbać przedewszystkiem o szkolnictwo elementarne, usunąć zmorę analfabetyzmu, która zestawiona z dążeniami naszemi do wielkomocarstwowości Polski budzi doprawdy najprzykrzejsze refleksje. Przymus szkolny, jeden z nielicznych usprawiedliwionych przymusów, stał się fikcją, a niektórzy dobrodzieje obdarzyć nas chcą nową fikcją, przymusowem zakładaniem bibljotek wiejskich. Że lud nasz garnie się do książki pomimo tak wielkiej biedy, o tem łatwo się przekonać. Zwłaszcza w zimie, o ile chałupę stać na naftę lub świecę, czytaniu oddają się młodzi i starzy, o ile ich wogóle czytać nauczono. Gdzieniegdzie organizują się też samorzutnie bibljoteki, zasilane dobrowolnie zbieranemi, groszowemi składkami.

Akcja przymusowa natychmiast ten pęd osadzi na miejscu. Ludzie wszelkich stanów mają dość przymusu, a już serdecznie dość przymusu ma ludność wiejska. Życzyć więc należy, aby takich samorzutnie powstających bibljotek było jaknajwięcej, a na ścianach izby czytelnianej niechaj widnieje przedewszystkiem napis: „Nie pluj na podłogę", a obok tego „Nie czytaj nigdy Mateusza Bigdy", którego autorem jest projektodawca przymusowych bibljotek, wróg Homera i Dantego, a w wolnych chwilach sekretarz Polskiej Akademji Literatury. Jeżeli na polu nauczania elementarnego ma nastąpić zmiana na lepsze, to na gwałt należy zreformować niedawno przez Panów uchwaloną reformę.

Jakież są sukcesy reformy szkół akademickich? — Poza usunięciem kilku profesorów naskutek widzimisię ministra i groźbą, że ten sam los może spotkać i inne, zbyt samodzielnie myślące duchy, albo ludzi Bogu ducha winnych, których fałszywie denuncjowano, co już miało miejsce, — nowa ustawa zaznaczyła się przede-

[1]) Podczas rozpraw w Senacie Rzplitej w dn. 1 marca r. b. nad budżetem Ministerjum Oświecenia Publicznego zabrał głos, w imieniu Stronnictwa Ludowego, znakomity uczony, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Leon Marchlewski. Przemówienie, poświęcone wynikom reformy szkolnej, uzupełniło deklarację, złożoną w imieniu Stronnictwa Narodowego przez senatora Stefana Sołtyka, a ogłoszoną drukiem w dn. 2 marca w „Gazecie Warszawskiej". Artykuł niniejszy jest urywkiem tej mowy, podanym ściśle według stenogramu biura senackiego.—Red.

wszystkiem na odcinku „młodzieżowym”. Zamiarem twórców nowej ustawy było „glejchszaltowanie” młodzieży w obrębie pewnego politycznego kierunku, wbrew opinji wszystkich wytrawnych pedagogów, którzy przestrzegali przed wtrącaniem się elementów pozauniwersyteckich do życia młodzieży, a już zgoła przed faworyzowaniem przez rząd jakiegokolwiek kierunku.

Czy nadzieje twórców nowej ustawy, za którą Senat Rzeczypospolitej jest odpowiedzialny, w odniesieniu do młodzieży się spełniły? Twierdzę stanowczo, że nie. Daleki jestem od „*Schadenfreude*“, ubolewam tylko nad tem, że rząd nie usłuchał głosów ostrzegawczych ludzi, politycznie zupełnie nie angażowanych, a serdecznie Polskę i młodzież kochających, że rząd zlekceważył opinję tych, którzy, widząc pewne wady w ówczesnym ustroju szkół akademickich, pragnęli razem z rządem rozsądną reformę opracować.

Nowa ustawa raczej odsunęła młodzież od rządu, widziała ona bowiem w niektórych przepisach sposoby niewłaściwego wywyższania jednych kosztem drugich. Zwłaszcza odcinek stypendyjny do tego się nadawał. Obawy młodzieży wkrótce znalazły potwierdzenie. Stypendja otrzymywali bardzo liczni młodzieńcy wbrew opinji ciał profesorskich. Otrzymywali je albo nieuki, albo też chłopcy niebiedni, dla których stypendja nie są warunkiem bytowania na uniwersytetach. Doszło do tego, że referenci poszczególnych wydziałów zamierzają zrzec się referatów, widząc, że mozolna ich, bezstronna i uczciwa praca przekreślona jest przez czynniki ministerjalne. Niesprawiedliwe tego rodzaju faworyzowanie budzi w młodych, życiem jeszcze nieskalanych, wstręt, odwracają się od tego rodzaju pupilków, jak od czegoś, co do bractwa uniwersyteckiego wkradło się podstępem.

Prestige rządu maleje, w odłamach niechętnych rządowi skupia się coraz więcej malkontentów, roi się od „politykierów” w stopniu dawniej nieznanym. Spokoju na uniwersytetach większego, niż za czasów dawnej ustawy, wcale niema, a wprost przeciwnie. Ustały wprawdzie nieporozumienia z kolegami żydami, ale tylko dlatego, że niektóre postulaty, zwłaszcza w sprawie zwłok żydowskich, zostały według życzenia młodzieży nieżydowskiej pomyślnie załatwione. Tarcia pomiędzy różnemi odłamami politycznemi są o wiele większe niż dawniej, a jeżeli rektorzy narazie jeszcze potrafią zburzone fale uśmierzać, to tylko dlatego, że stosują metody dawnej tradycji. „*Strammes Auftreten*“, jak mówią Niemcy, nasza młodzież nie zniesie. Bilans nowej ustawy jest taki, że kwalifikacja, jaką nadał jej np. wielce zasłużony ś. p. Balzer, była w zupełności usprawiedliwiona, ku wielkiej trosce wszystkich, którzy narówni z ministrem oświecenia publicznego Anglji widzą w uniwersytetach duszę narodu.

Analizując rezultat poczynań rządu w odniesieniu do młodzieży, dochodzi się mimowoli do wniosku, że doktryna tak modna dzisiejszej fizyki, zasada indeterminizmu i na polu społecznem ma zastosowanie. Rezultat, który uzyskano, stoi wręcz w przeciwieństwie do zamierzeń. Reakcja nie odpowiada akcji.

Testamentem niejako tej Wysokiej Izby dla przyszłych pokoleń, o których się mówi tak wzniośle i tak patetycznie, jest Konstytucja. Dla nowego pokolenia ją zbudowano. Przecież nie dla nas, którym znajomi z tamtego świata coraz częściej zaproszenia wysyłają. Zdawało się więc, że młodzież, szczególnie t. zw. prorządowa, odniesie się do niej ze szczególnym entuzjazmem. W rzeczywistości spotkał Was, Szanowni Panowie, bolesny zawód.

Dla przykładu dam Sz. Panom opinję odłamu młodzieży t. zw. prorządowej, szczególnie protegowanej, odłamu najwięcej aktywnego, któremu przed kilkunastu dniami, z okazji 5-letniego istnienia formacji najwybitniejsi dygnitarze życzenia posyłali, mianowicie młodzieży skupionej w „Legjonie Młodych”. W cytatach będę bardzo oględny, nie chcę zmartwić niejednego z tu obecnych Panów Senatorów.

Młodzi legjoniści charakteryzują zabiegi koło nowej Konstytucji zarówno w Sejmie, jak w Senacie, jako

„sielankę małą taką”, ale gdy się jej bliżej przypatrzeć, to owa sielanka straci dużo ze swej pogody, a zwarta napozór konstrukcja—ze swej jasności. Postanowienia nowej Konstytucji, idące w kierunku regulacji spraw gospodarczych i społecznych, są niezwykle małomówne. Specjalnie dotyczy to zagadnienia pracy i miejsca jej przedstawicieli w państwie i społeczeństwie. Sprowadzają się one do jedynego art. 8-go i jeśli porównamy z tym tekstem odpowiednie postanowienia Konstytucji marcowej, to się przekonamy, że owa, tak często pomiatana „konstytuta” (wciąż cytuję Młodych Legjonistów) wykazywała daleko więcej zrozumienia i wyrażała to w postanowieniach obfitszych i bardziej sprecyzowanych. Stwierdzić należy, że wartości pozytywne, jakie w rozwiązanie to wnosi nowa Konstytucja, są prawie żadne. Nie spotykamy tu ani słowa, któreby wskazywało na respektowanie naprawdę zasady powszechnie już chyba docenianej i rozumianej, że państwo buduje się pracą tych, którzy je krwią własną i życiem bronić mają”.

Młody Legjonista zastanawia się w dalszym ciągu nad rozbieżnością w poglądach teoretyków nowej Konstytucji, a ostatecznem jej ujęciem i łatwo znajduje na to pytanie odpowiedź:

„Oto w Senacie Konstytucja dostała się w ręce konserwatystów, przyjęli to oni z ochotą i sprawnie wzięli się do roboty. Obrabiali więc panowie Rostworowscy i Perzyńscy ów płód niewykończony i podrzucili to kukułcze jajo Senatowi”.

A koniec wywodów Młodych Legjonistów jest taki:

„Jak będzie wyglądał sąd potomności, jeśli do wysiłków obecnego pokolenia doliczy ona i wysiłki pp. Targowskich i Rostworowskich? Jak oceni owo kukułcze jajo, podrzucono do gniazda, z którego ma wyjść Nowa Polska?”

Tak Was, Szanowni Panowie, osądziła własna Wasza młodzież, dla której urobienia uchwaliliście nową ustawę akademicką. Opinji młodego pokolenia ludowców, narodowych demokratów, socjalistów, a nawet młodych konserwatystów zapewne ciekawi nie jesteście. A przecież, jak powiedziałem, ich przedewszystkiem ma obowiązywać nowa konstytucja.

Czy można być na tyle naiwnym, aby wobec takich nastrojów przypuszczać, że może ona być czemś trwałem, podstawą nowego, mocarnego, niemąconego kataklizmami ustroju państwa? Nie, Panowie Senatorowie, nie można. Tak jak młode

pokolenie, razem z b. Prezesem Polskiej Akademji Umiejętności wołało, że nowa ustawa uniwersytecka wzięła profesorów na powróz, a ja dodałem, że wlecze ich wraz z jej twórcą w mroki wstecznictwa, taksamo młode pokolenie łamie sobie ręce na widok, jak nowa Konstytucja wlecze na powrozie wszystkich obywateli, wraz z siwowłosym, niezaprzeczenie oddanym, ofiarnym ongiś bojownikiem sprawiedliwości społecznej p. Sławkiem, w mroki niemal przedwieczy i to znowu przy akompanjamencie chichotu referentów jej w Sejmie i w Senacie.

Takie są wyniki pracy większości tej Wysokiej Izby w dziedzinie oświatowej. Większość chwali je sobie, my je potępiamy. Większość uważa, że jest jej obowiązkiem wszelkie przedłożenia rządu przyjmować, my staliśmy na stanowisku, że przedłożenia rządu muszą odpowiadać postulatom wszystkich warstw narodu, które stanowią podstawę bytu Państwa i tych, na których barkach spoczywa obowiązek dbania o jego kulturę.

Zródłem niepowodzenia, przyczyną obecnego strasznego stanu gospodarczego, nędzy, analfabetyzmu, bezrobocia zawodowej młodzieży, fałszywego blichtru, który żywo przypomina ornitologiczne Słowackiego określenie narodu,—jest błędna koncepcja, że przy teraźniejszym ustroju można stworzyć ciało o rozbieżnych interesach i to z elementów, przedstawiających mniejszość narodu, któreby nawę państwową miało ciągnąć w tym samym kierunku.

LEON MARCHLEWSKI

MAKJAWEL, MONTESKJUSZ i PROTOKUŁY MĘDRCÓW SYJONU

(Dokończenie)

KONIECZNĄ cechą władcy jest tajemniczość, nieprzenikniona dla najbliższych; nawet decyzje ma wydawać w ostatniej chwili; ministrowie jego i doradcy winni być zdani na domysły; lud winien widzieć w nim rodzaj Opatrzności, której drogi są niezbadane. Największą sztuką jest sztuka stwarzania pozorów; trzeba, żeby wszyscy wierzyli święcie, że jest szczery, gdy zamyśla co innego, niż mówi. Gdy powie: moje rządy — to pokój, powinno to znaczyć, że przedsiębierze wojnę; gdy zapowie, że się ucieknie do środków moralnych, to powinno znaczyć, że użyje siły. Powinien mówić rzadko, a wtedy każde słowo będzie komentowane bez końca, czasem winien mówić jak demagog i nawet jak prostak, bo ostatecznie on i lud — to jedno. Czasami powinien srożyć się okrutnie i bez obawy: „ludzie“ — jak czytamy w „Księciu”— „mszczą się tylko krzywd małych; wobec wielkich są bezsilni”; wybór środków nie nasuwa trudności, ponieważ zawsze znajdą się sędziowie, gotowi oddać swe sumienie na jego usługi; ludowi zaś czyni się pewną satysfakcję, gdy się uderza kogoś znacznego. Zato każda uprzejmość, każde łaskawe słowo, każdy uśmiech władcy uszczęśliwia tego, do kogo jest zwrócony.

Nie należy zaniedbywać wiązania pewnych wystąpień z pewnemi datami szczęśliwemi, liczbami lub wróżbami: lud przyzwyczaja się do myśli, że każdy z aktów władcy odpowiada woli niebios, losu czy przeznaczenia.

Zarzuty i brudy nie dosięgną władcy, gdy przerzucać będzie na innych odpowiedzialność za ohydne akty swych rządów. „Co będą mogli powiedzieć najgorszego — to to, że jestem dobrym władcą, mającym złe otoczenie, że pragnę dobra, że go pragnę gorąco i że będę zawsze dobro czynił, byle mnie należycie informowano” (str. 299).

Nic łatwiejszego, jak rządzić w ten sposób. „Nie uwierzysz, jak makjawelizm jest zaraźliwy, jak jego rady są łatwe do wykonania. We wszystkich gałęziach służby publicznej będzie wiele ludzi nic nie znaczących lub mało znaczących, którzy będą prawdziwymi makjawelami na małą skalę, którzy — będą udawać, używać podstępów, kłamać z niezmącenie zimną krwią” (str. 300). Gdy wreszcie władca zechce zwolnić nieco ucisk, będą go błagać ze wszech stron, aby tego nie czynił. Skończy się na dekoncentracji, t. j. na powierzeniu rządcom prowincyj pewnych decyzyj, które dotychczas były zastrzeżone ministrom.

Na obronę czy usprawiedliwienie ludów Monteskjusz przypomina jedno miejsce ze swego „Ducha Praw”, w którem mówi: „Obyczaje władcy wpływają na wolność w tym samym stopniu, co ustawy. Jak one, władca może czynić z ludzi zwierzęta i ze zwierząt ludzi; jeśli kocha dusze wolne, będzie miał poddanych, jeśli lubuje się w duszach podłych, będzie miał niewolników”. Pociąg do cnoty jest w duszach ludzkich tak potężny, że wystarczy, aby znikł władca, który go demoralizował, a naród powróci do uczciwości w rządach i do wolności.

— Nieprawda! odpowiada Makjawel. To ja jego władca, uosabiam dlań teraz postęp, zdobycze rewolucji, demokrację, wolność, cnotę, jestem dlań wszystkiem. Naród mnie ubóstwia i gotów stawiać mi ołtarze. Porównywa mnie z Ludwikiem XIV i z Washingtonem, z Henrykiem IV i ze św. Ludwikiem, z Cezarem, Aleksandrem i Cyrusem. Gdy kona w ucisku, mówi: „Gdyby on o tem wiedział”! Gdy spodziewa się ulgi, gdy chce się mścić, powiada: „On się o tem dowie!”

Oburzenie i przerażenie Monteskjusza dochodzą do szczytu, gdy Makjawel mu mówi, że jest kraj, w Europie, dumny tysiącem lat cywilizacji, świetny wielkiemi czynami i zdobyczami ducha, promieniejący plejadą największych w historji nazwisk, w którym to wszystko... stało się rzeczywistością. Kraj bliski Monteskjuszowi... Wicher unosi ducha Makjawela, zanim zdążył kraj ten nazwać. Ale Monteskjusz zrozumiał i w rozpaczy woła:

— Do czego dopuściłeś, o Boże!

V

Zasłuchany w ten dramatyczny ton, którym kończy się duchów rozmowa, czytelnik przecie po chwili zastanowi się może nad pytaniem, co to wszystko ma wspólnego z „Protokułami Mędrców Syjonu“. Pan St. Pieńkowski takiego pytania nie postawi: dostrzegł już z pewnością podobieństwa, o których pisał stambulski korespondent „*Times*“'ów.

Podobieństwa są, większe nawet, niżby z tego pobieżnego przedstawienia rozmowy mogła się wydawać. Podobne są, bo niemal identyczne środki i sposoby, zalecane przez obie książki, ale to, jak zobaczymy, jest właśnie rzeczą najbardziej naturalną. Podobna jest kolejność niektórych rozważanych zagadnień, podobne, ba! identyczne niektóre zwroty, zdania i ustępy. W obu książkach znajdujemy zdania o Sulli, który po wszystkich okrucieństwach przechadzał się zuchwale po ulicach Rzymu i ani włos nie spadł mu z głowy, i porównanie prasy rządowej różnych odcieni do bóstwa Wisznu o stu ramionach; i tę myśl: „gdyby król wiedział!“ — i niektóre inne. Podobne są wywody o zwalczaniu ducha publicznego, o zbywaniu opinji ogólnemi hasłami konstytucyjnemi, o polityce prasowej, o pożyczce i wyciąganiu pieniędzy ze społeczeństwa, o niszczeniu samodzielności warstwy ziemiańskiej i znowu niektóre inne. Ale niepodobna zamykać oczu i na różnice, które ujawniają się nawet w szczegółach. Gdy Makjawel powołuje się na zdanie: *per me reges regnant*, to poto, by wskazać, że uzurpator może się powołać, mimo wszystko, na wolę Boską; gdy to zdanie cytują „Protokuły“, to dla przypomnienia, że Jehowa przyrzekł żydom panowanie nad ziemią. Ważniejsze jednak są różnice inne. „Rozmowa” Joly'ego — to spora książka, dowodząca na każdym kroku nietylko znajomości głośnych dzieł Makjawela i Monteskjusza, ale i dużej kultury umysłowej autora, i jego zdolności przenikliwej obserwacji stosunków politycznych Francji za Drugiego Cesarstwa, książka, pisana z polotem, ale i z gorącą, hamowaną pasją wewnętrzną, drgającą oburzeniem na demoralizujący system rządów, książka, z której nietrudno odgadnąć przywiązanie autora do tego poglądu na świat, który reprezentuje Monteskjusz. „Protokuły” na objętość stanowią nieco więcej niż jedną trzecią książki Joly'ego i wyglądają przy niej, jak bardzo prozaiczne, suche, nie dbające o formę zewnętrzną, raczej urywkowe sprawozdanie z operacji jakiegoś przedsięwzięcia czy przedsiębiorstwa, ważnego zapewne, niezwyczajnego, ale przedsiębiorstwa, wznoszące się — w tonie wewnętrznym, zaledwie znajdującym odbicie nazewnątrz — jedynie w tych miejscach, gdzie mówią o przyszłym żydowskim Królu Świata. Autor „Protokułów” jest zwolennikiem rządów absolutnych, powiedzmy — despotycznych, wykonywanych przez Izraela, ale też żydom, ich kierownikom, przedewszystkiem ich przyszłemu władcy stawia wysokie wymagania moralne, dążąc jednocześnie do zdemoralizowania narodów chrześcijańskich, między innemi przez wypaczenie wszystkich instytucyj państwa prawnego. Mówiąc nawiasem, złudą wydaje się przekonanie, że żydzi, demoralizując celowo i świadomie społeczeństwa chrześcijańskie, wśród których żyją, sami tej demoralizacji nie ulegną; ale mniejsza o to. Wreszcie cechuje „Protokuły” światowy, w pewnem znaczeniu międzynarodowy punkt widzenia, najzupełniej obcy autorowi „Djalogu”, całkowicie pochłoniętemu troską o przyszłość ojczyzny.

Jak powiedziałem na początku, nie poczuwam się do żadnej kompetencji w sprawie „Protokułów“; ale oceniając objektywnie oba pisma nie mógłbym się zgodzić odrazu z twierdzeniem, że „Protokuły” są zwykłą przeróbką „Rozmowy”. Czy nie możnaby raczej przypuszczać, że oba pisma mają w s p ó l n e ź r ó d ł o?

Przecie pod względem „techniki politycznej” ani „Rozmowa” ani „Protokuły” nie są żadną rewelacją. Joly opisywał to, na co patrzył, jak przed nim Makjawel i wielu innych. Rządy, które nie posiadają mocnego oparcia w społeczeństwie, które chcą trwać i rządzić wbrew społeczeństwu, nie mają wielu dróg do wyboru: muszą posługiwać się wciąż temi samemi sposobami, chwytami, sztuczkami, które już wypróbowali inni w takiem samem położeniu. Jeżeli „Protokuły” omawiają sprawę narzucenia narodom jakiegoś rządu światowego wbrew ich interesom i wbrew ich woli, to także nie mają innych dróg jak te, któremi zdobywa i utrzymuje władzę każdy uzurpator. Zmieniać się mogą szczegóły wykonania, boć i czasy się zmieniają, ale istota rzeczy jest i musi być niezmienną.

Joly wysoko tkwił w wolnomularstwie, które, jak on sam twierdzi, w gruncie dąży do rządów absolutnych. Jeżeli „Protokuły” są produktem żydostwa, to wyjść musiały z kół, ściśle z wolnomularstwem związanych, o czem zresztą same w paru miejscach mówią. Czy nie tam leży najbliższe źródło tych praktycznych przepisów „techniki politycznej”? Ponieważ i w tej materji jestem zupełnie niekompetentny, stawiam tylko pytanie i... nie troszczę się o odpowiedź. W tem wszystkiem interesujące dla mnie jest to tylko, że *qui veut la fin, veut les moyens*, i że te środki są zabójczo monotonne.

BOHDAN WINIARSKI

O NIEWOLĘ SZTUKI

(Dokończenie)

DO POWYŻSZYCH celów wielkich i jeszcze dość dalekich prowadzi droga przez osiągnięcia skromniejsze, najzupełniej konkretne, łatwo wykonalne i nadzwyczaj pilne.

A więc chodzi o to, żeby produkcję sztuki kościelnej poddać należytej kontroli i opiece i żeby odebrać ją i wszelkie sprawy z nią związane od ludzi niereligijnych. Pomijając już sprawę, że niedorzecznością jest oczekiwać od nich stworzenia sztuki, którąby była naprawdę religijna, tak jak niedorzecznością jest czekać, że na dębie wyrosną gruszki, ale ponadto trzeba sobie uświadomić, że takie traktowanie sztuki kościelnej jest nieprzystojne i, jak już powiedzieliśmy, świętokradcze.

Musimy też uciec się tu do małej dygresji i wyjaśnić, że nie można produkcji sztuki kościelnej zawiesić, to znaczy, że ów list biskupów polskich, nakazujący malować kościoły na gładko, choć i jest najsprawiedliwszy, to jednak jest to środek niewystarczający, bo w wielu wypadkach czynienia sztuki kościelnej uniknąć niema sposobu. Boć przecież w każdym kościele jest cały szereg przedmiotów takich, bez których nie można się obejść, jak np.: obrazy, chorągwie, monstrancje, ołtarze, kielichy i t. d., a których nie da się wykonać unikając czynienia sztuki, albowiem jedne z nich muszą coś wyobrażać, a inne są już ozdobą i klejnotem z samego swego przeznaczenia. Zresztą i budowanie nowej świątyni nie może się ograniczyć wyłącznie do inżynierji. Bo budynek kościelny już sam przez się, poprostu z samego założenia jest to rzecz absolutnie niepraktyczna, a wprost przeciwnie, jest to guz bogaty, jest to jakby skamieniała emanacja zbiorowej miłości narodu, stercząca niby stalagmit z powierzchni ziemi. To też, o ile jeszcze jako tako możemy znosić dzisiejsze budownictwo mieszkalne o charakterze szpitalno-inżynieryjnym, o tyle żadną miarą niepodobna stosować go do budownictwa kościelnego. I wobec tak szczególnego znamienia, jakie musi nieść na sobie każda budowla kościelna, przystępując do jej wznoszenia lepiej już chyba nawet zaryzykować, popełniając architekturę, niż poprzestać wyłącznie na inżynierji.

Rozumiejąc więc, że nie można uniknąć produkowania sztuki kościelnej, i że jest ono koniecznością, dopóki istnieje Kościół, łatwo zgodzić się, że musi ono być należycie potraktowane i zorganizowane.

A pierwszym tego warunkiem jest: nie dopuszczuć do produkowania sztuki kościelnej, ani do stykania się z nią i wpływania na nią nikogo więcej, tylko tych ludzi, których upoważnia do tego ich stan duszy. To znaczy, ma być zupełnie inaczej, niż dzisiaj, gdy naprzykład organizowanie konkursów artystycznych na takie, czy inne dzieło sztuki religijnej powierza się pierwszej lepszej instytucji artystycznej, najzupełniej świeckiej, wolnomyślnej i mającej wśród swoich członków: żydów, masonów i wszelkich innych wrogów Kościoła.

I tak samo przy formowaniu kompletu sędziów konkursowych nikt dzisiaj nie powoduje się zasadą naczelną, że duchowieństwo w nim musi mieć przewagę, a sędziowie świeccy tylko dokooptowywani w razie potrzeby jako specjaliści. Ale i przy takiem korzystaniu z pomocy ludzi świeckich nie szkodziłoby wcale interesować się, jaki jest ich osobisty stosunek do religji i Kościoła,i raczej rezygnować z lepszego specjalisty, by angażować lepiej wierzącego, a słabszego fachowca. Stanowczo Kościół ma i prawo i obowiązek kontrolować stan duszy tych wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób stykają się z produkcją sztuki religijnej. Bo czynienie sztuki religijnej to bez przesady prawie praca kapłańska.

W dzisiejszych konkursach artystycznych duchowieństwo jest zazwyczaj w mniejszości. A zresztą ksiądz taki znienacka, *ad hoc* odkomenderowany do wzięcia udziału w sądzie konkursowym i znalazłszy się w otoczeniu sławnych, rozreklamowanych i wygadanych luminarzy-specjalistów, nie odważa się najczęściej ani słowem komukolwiek się sprzeciwić. To też udział jego ogranicza się prawie zawsze do tej dziedziny, gdzie pewny jest, że się nie skompromituje, a więc do czytania napisów łacińskich, czy aby niema gdzie jakiego błędu, albo głupstwa, czy obrazy nie są aby nieprzystojne[1]), albo czy są poprawne pod względem liturgicznym, a więc czy Chrystus siedzi rzeczywiście po prawicy Boga Ojca, czy taki lub inny anioł ma akurat tyle skrzydeł, ile trzeba i t. d. I rzecz prosta, udział taki jest śmiesznie niedostateczny, bo i napisy mogą być z sensem, i Chrystus może siedzieć po prawicy, i serafin może mieć akurat sześć skrzydełek, a mimo to dane dzieło sztuki może nie mieć ani krztyny pierwiastka religijnego.

I któż więc ma wobec tego sądzić, czy to dzieło sztuki jest religijne? To znaczy sądzić o tem, co jest w danym wypadku najważniejsze. Bo świecki członek sądu sam może być wolnomyślny, a ksiądz nie ma ani śmiałości, ani zresztą przygotowania.

Naszem zdaniem, trzeba stanowczo skończyć z tak anarchicznem i bezpańskiem traktowaniem produkcji sztuki kościelnej. Dla tego celu powinno być poprostu wyłonione z duchowieństwa jakieś ciało centralne, któreby miało wyłączne prawo kierowania całą produkcją sztuki religijnej. Nie można wymagać przecież, żeby wszyscy proboszczowie w Polsce posiadali dostateczne wyrobienie i wykształcenie, by mogli należycie się rządzić w tak trudnej dziedzinie i pozbawionej wszelkich mierników, jaką jest dzisiejsza sztuka plastyczna, lub muzyka, ale duchowieństwo jako takie, w całości, potrafi bezwątpienia wyłonić z siebie odpowiednią ilość światłych i wykształconych ludzi, którzy będą mogli utworzyć takie ciało centralne. Nie trzeba tu też dodawać, że urząd taki, któryby był oczywiście placówką permanentną, wydoskonalałby się coraz bardziej z biegiem czasu, a oprócz tego dokształcałby dodatkowo swoich członków, zalecając im nietylko studja teoretyczne z historji sztuki, ale koniecznie też i osobistą pracę w samej sztuce. Naszem zdaniem, urząd taki musiałby wytworzyć poniekąd nowy typ kapłana, z bardzo gruntownem wykształceniem w dziedzinie sztuki, ale wykształceniem nie teoretyczno-naukowem, jak to często u dzisiejszych estetów i krytyków bywa, sprowadzającem się do suchej formalistyki i bezdusznej rejestracji, tylko z wykształceniem polegającem na prawdziwym, żywym, zupełnie osobistym stosunku do piękna i ze zrozumieniem wartości sztuki i sposobu jej stosowania, jako potężnej dźwigni życia wewnętrznego.

Reforma ta jest skromna, łatwo osiągalna, ale nadzwyczaj ważna. I nikt chyba nie będzie kwestjonował jej słuszności. Zasada jej jest elementarna: Kościół musi rządzić się sam w sztuce religijnej, bo czynienie sztuki religijnej jest to praca prawie kapłańska. Tymczasem Kościół dziś zależny jest niewolniczo od rozmaitych ludzi. A ci rozmaici ludzie, to znaczy artyści, są właśnie zdezorjentowani, bo nie są dostatecznie uzależnieni i nie są zmontowani żadną ideą.

---

[1]) Bo i tak bywa. Tak np. owa wystawa w Wenecji słynna jest z tego, że duchowieństwo włoskie nakazało usunąć z niej, za ich nieprzyzwoitość, kilka prac graficznych.

A nakoniec nietrudno zrozumieć, że ustalenie takiego urzędu w Polsce i w innych krajach będzie pierwszym krokiem do tego, żeby związać ze sobą Kościół i sztukę w jedną szczególną całość, tak misterną i tajemniczą i taką dla życia konieczną, jakim jest związek duszy i ciała.

*

* *

Artykuł powyższy jest napisany pod wpływem bardzo przykrego wrażenia, jakie pozostawia zakończony niedawno konkurs na ołtarz i polichromję katedry w Chełmie, a który w całej pełni uzmysławia, ile wart jest dzisiejszy system obdarzania kościołów sztuką *via* I. P. S., albo za pośrednictwem takiej czy innej wolnomyślnej, czy też conajmniej nijakiej instytucji. Poziom prac nagrodzonych i wyróżnionych jest doskonałym wskaźnikiem dzisiejszego upadku sztuki. Jeśli zaś tu podsumować niedorzeczność samego założenia tego konkursu, nie orjentowanie się w elementarnych zagadnieniach plastycznych jego sędziów, oraz bezmyślność oficjalnej krytyki, która zamiast tego, żeby zaalarmować opinję publiczną nowym skandalem artystycznym, powtórzyła swoje odwieczne banały i komunały, to dopiero uzyskamy cała polichromję dezorganizacji i zwyrodnienia dzisiejszego świata polskiej sztuki.

Po pierwsze, założenie tego konkursu dlatego było niedorzeczne, że nie można sądzić o kwalifikacjach malarza w trudnej i odpowiedzialnej technice ściennej z jego prac wykonanych na papierze. Każdy artysta, który choć raz dotknął malarstwa ściennego, wie doskonale, że szkicowanie i projektowanie na papierze może mieć wartość orjentacyjną tylko dla autora i też niejednokrotnie bardzo niepewną. Natomiast osoba postronna, oglądając projekty papierowe, żadnego wyobrażenia mieć nie może, co się z nich stanie, gdy zostaną one przeniesione na ścianę. W jednym wypadku tylko można nieomylnie sądzić projekty papierowe, a mianowicie wówczas, gdy są one na beznadziejnie niskim poziomie.

Po drugie, konkurs był rozpisany osobno na ołtarz, a osobno na polichromję. Jest to oczywista niedorzeczność, bo przecież nie może być dobrze skomponowane wnętrze, jeśli prace nad jego częściami powierza się dwu niezależnym od siebie artystom.

Po trzecie, warunki oglądania prac były niedopuszczalne. Było zaledwie kilka godzin na przejrzenie czterdziestu kilku projektów, z których każdy składał się z pięciu wielkich arkuszy, pokrytych drobnemi malowidełkami i jednego szczegółu w naturalnej skali. Oprócz tego projekty oglądano, z braku lokalu, w małej salce i przy elektrycznem oświetleniu.

Powyższe braki w samem założeniu konkursu i w sposobie jego przeprowadzenia już same przez się wystarczają, żeby nazwać go skandalem artystycznym, przypominającym ów słynny konkurs na obraz w sali sejmowej z przed kilku lat, gdzie malarstwo ścienne miało być wykonane olejno na płótnie, wprawionem w ścianę, wbrew najelementarniejszym zasadom sztuki i zdrowego rozumu.

Nie jest zadaniem naszem pisać recenzji z prac, które znalazły uznanie u sędziów konkursowych, ale trudno pominąć tu malowanie pod cegłę, przypominające malowanie pod marmur, lub pod dąb klatek schodowych z przed trzydziestu lat w pierwszej nagrodzie i wyrafinowaną ordynarność kolorów w czwartej nagrodzie. Poza temi wpadkami widzieliśmy i wiele innych pomniejszych figielków, potworności, smaczków, bezwstydnych secesyj i t. d., o czem tu niema miejsca pisać. Dodać tu też trzeba, że większość projektów—to nie projekty, ale malowanki, które są traktowane jak impresjonistyczny obrazek, w którym i ton papieru, i faktura kładzenia farby, i rama, i napis, i wszelkie inne szczegóły, nie mające żadnego istotnego znaczenia, składają się na taką czy inną artystyczną całość. Niektóre z tych malowanek są nawet niebrzydkie, jak np. druga nagroda. Mówiliśmy, poprzednio, że z tego rodzaju projektu nie można sądzić o tem, co będzie na ścianie, ale oczywiście z podobnej malowanki... sądzić można bez pudła, że autor jej zupełnie nie orjentuje się w tem, co robi.

Dodać tu nakoniec trzeba, że „projekty" te zgoła nie liczą się z architekturą. Interesują nas tu oczywiście przedewszystkiem prace nagrodzone, a zwłaszcza pierwsza nagroda. Otóż wszystkie fragmenty w tej pracy są zupełnie naturalistycznemi obrazami, jaknajgorzej wpisanemi w architekturę. Śmieszne jest naprzykład malowanie w kopule, obok prawdziwych okien, okien w obrazie z padającym przez nie promieniem światła. Czyż autor wyobraża sobie, że będzie mógł konkurować farbą z prawdziwym promieniem słońca, który wpadnie do katedry przez okno prawdziwe?

Parę słów należy się i protokółowi sądu, który był tak samo wystawiony na widok publiczny, a który uzasadniał takie właśnie rozdzielenie nagród. Protokuł ten—to typowa niewybredność i nagromadzenie pseudo-naukowych powiedzonek, obliczonych na niewinność publiczności.

Trudno wyobrazić sobie, żeby mogło być większe uchybienie sztuce, niż taki konkurs i czas ostatni, żeby wywołał w stronie zainteresowanej i poszkodowanej, t. zn. wśród duchowieństwa należytą reakcję. Duchowieństwo ciągle jeszcze ufa dzisiejszym artystom i robi ofiary nietylko materjalne, opłacając słono podobne konkursy, ale i moralne, bo udaje się do takiego I. P. S-u, na którego ścianach, na tych samych ścianach wisiała niedawno, bo rok temu, bezbożna tandeta sztuki sowieckiej, ale można mieć nadzieję, że nareszcie, po tem ostatniem doświadczeniu nastąpi opamiętanie.

Tymczasem zaś można mieć nadzieję, że nastąpi ingerencja odpowiednich władz duchownych i katedra chełmska nie zostanie pomalowana przez żadnego z tych nagrodzonych artystów. Bo pomalowanie w ten sposób tej katedry, która należy do jednego ze starszych biskupstw w Polsce, która zniosła tak liczne zmagania i zawieruchy wojenne, była świadkiem męczeństw unickich i wreszcie została odebrana przez rząd carski i przechrzczona, a teraz dopiero rewindykowana i stoi oto jako baszta kresowa rzeczywiście na przedmurzu chrześcijaństwa, — otóż pomalowanie w ten sposób takiego gmachu napewno będzie już nietylko skandalem artystycznym, ale skandalem narodowym.

LEON MACIAŃSKI

MIASTO STWORZONE PRZEZ WIEŚ

Drogiej pamięci profesora Juljusza Kłosa poświęcam

I

DYSTANS UWIELBIENIA

W JEDNEJ ze swych powieści Henry Bordeaux, gorący miłośnik wsi i przyrody, tak charakteryzuje swoją paryską stolicę: „*L'esprit parisien trouble les loix de la perspective*". Głęboki sens tego skrótu myślowego sprawdza się nietylko w Paryżu, ale daje się zastosować do każdego innego większego miasta — z wyjątkiem może Wilna.

Istotnie — miasto zakłóca prawa perspektywy fizycznej i duchowej, gdyż utrudnia ludziom dostrzeganie spraw istotnych i ważnych. Zasłania widoki ziemi nieujarzmionej i rozległej, przestwór nieba, pełnego barw i ustawicznej zmienności, obrazy prostego życia, zapełnionego treścią zdrową i istotną. Miasto stawia między ziemią a człowiekiem kamienne zapory, wznosi stosy przedmiotów brzydkich i przypadkowych i zakrywa niemi jedyną prawdziwą wieczność ziemską — dal i niebo. Umysł wielkomiejski, szukający rozstrzygnięć materjalnych i doraźnych, zatraca poczucie perspektywy żywego świata przyrody, zapomina, że jego ogrom i piękno leży przeważnie poza mizernemi kępkami t. zw. cywilizacji. Miasto europejskie, rozrośnięte i uprzemysłowione, uboży dusze i kształtuje jednostronnie ich widnokrąg, zasłaniając prawdy, których uczy ziemia.

Ktoś inny wypowiedział to samo w zwięzłem, a dobitnem zdaniu: „Bóg stworzył wieś — człowiek zbudował miasto". Znaczy to, że człowiek nie zdoła wymyśleć nic lepszego nad życie, zgodne z boskim ładem przyrody; z chwilą, gdy się jemu przeciwstawia, znajduje we własnych dziełach udrękę i karę. Ale obydwa te powiedzenia, tak trafne dla wielkich zbiorowisk stołecznych, stosują się na szczęście tylko w bardzo nieznacznej mierze do naszego Wilna.

Wilno nie zakłóca perspektywy spraw przyrodzonych i ważnych swojem istnieniem i stanowi w tem prawidle uwagi godny wyjątek. Nie odrazu zgaduje się przyczynę tej odrębności, ponieważ rzeczy elementarne są nieraz najtrudniejsze do zrozumienia. A przyczyna jest nadwyraz prosta: oto Wilno nie jest właściwie miastem i nigdy niem dotąd nie było. Wilno tylko udaje miasto, usiłuje byc niem bez większego wyniku i naprzekór biegowi i duchowi czasu nie przestało być wsią. Tylko miejscami, na paru głównych ulicach, ma ono wygląd wielkomiejski. Ale za temi pozorami kryje się rzeczywistość wręcz odmienna. Dlatego tak łatwo jest w Wilnie zrozumieć inne powiedzenie tegoż Henry Bordeaux, że „*un paysage est un état d'âme*". Wilno jest przedewszystkiem pejzażem i, jako taki, jest stanem duszy, prześwietlonej słoneczną łaską natury.

Tajemnica osobliwego czaru Wilna nie jest sprawą nową, tylko doszczętnie zapomnianą i dzisiaj dopiero odgrzebywaną z popiołów i rumowisk ponurej doby popowstaniowej.

Nie było czasu na zgłębianie tego czaru w poniewierce i pognębieniu; nie było swobodnej myśli i wrażliwości na jego odczuwanie w kazamatach niewoli. Ale u jej schyłku, w początkach bieżącego stulecia, piękno Wilna zaczęło się ponownie objawiać umysłom wnikliwym, zamiłowanym w jego przeszłości, a w całej pełni ukazał je światu Ferdynand Ruszczyc, który porzucił dobrowolnie świetną karjerę artystyczną w Krakowie i Warszawie, by osiąść w niedużem, cichem Wilnie i głosić słowem i czynem każdego dnia jego piękność obecną, jego dawne dostojeństwo i wiarę w jego przyszłą żywotność i chwałę. Ruszczyc był zawsze ściśle związany z Wilnem i Wileńszczyzną — odtwarzał je w „Ziemi", „Wiośnie", „Balladzie", „Dożynkach", w niezliczonych zakątkach rodzinnego Bohdanowa. Malował brzozy i jabłonie oszmiańskie, wileńskie zaułki i splendory architektury, rozsypane na tle okolicznych gór. Ale to mu nie wystarczało. Zapragnął oddać Wilnu — całego siebie, by pójść w jego służbę codzienną, odkrywczą i apostolską. Wziąwszy na siebie trud szeregowca, stał się wodzem duchowym miasta, niekoronowanym królem wileńskiego majestatu. Odsłonił i ukazał podwójne oblicze Wilna: piękno rzeczywistości, splecionej z kunsztownego budownictwa i ze zbiegu przyrodzonych warunków, a zarazem piękno przeszłości, zachowane w kamieniach, księgach i pamiętnikach minionych stuleci. Do skarbów wskrzeszonego z niepamięci miasta przydał żar i moc własnej twórczości, niezmordowanie czujnej, wszechogarniającej, renesansowo bogatej i wszystkie te klejnoty piękna rozsypał hojną dłonią po mieści i kraju. Stał się strażnikiem jego czaru, dzwonem jego dostojeństwa, stał się duszą Wilna.

Po tem apostolstwie Ruszczycowskiem, inni mają zadanie już ułatwione. Wystarczy iść jego śladem z oczami otwartemi i patrzeć, jak w błękitnem omgleniu rysują się dzwonnice i krzyże, góry i drzewa, słuchać, jak biją na nieszpór dzwony świątyń wileńskich, jak im odpowiada głos odwiecznego Wilna, śpiżowy i srebrny. A potem utrwalać i rozpowszechniać wszystko, co podszepnie, wszystko, co odsłania szczodrobliwie to miasto miłe, pełne niewysłowionego wdzięku. I wzorem wielkiego poprzednika oddać mu w służbę wierną życie...

Droga, utorowana przez Ruszczyca, jest szeroka i ponętna. Wielu już nią poszło ochoczo, wielu złożyło miastu obfitą daninę wiedzy, pracy i zapału. Cóż może dodać do tego jeszcze jeden uczeń Ruszczycowski, usiłujący w swoich skromnych „Wędrówkach" zatrzymać okruchy podpatrzonego piękna? Porywy serca, olśnienia oczu, wiązankę słów, przejętych szczerym entuzjazmem? Tylko tyle. Ale chce to uczynić po swojemu, tak, jak to widzi i czuje. Chce spojrzeć na Wilno oczyma pejzażysty i wieśniaka, chce poprzez jego miejskie pozory dotrzeć do pierwiastków zasadniczych, do tonu duchowego Wilna i ukazać prawdziwe jego oblicze, wiejskie i sielskie.

Bo Wilno nie jest na szczęście miastem. Posiada wszystkie cechy dworu wiejskiego, dużego, wielkopańskiego dworu z rozrzutnem bogactwem architektury i prostem pięknem przyrodzonego otoczenia. Ma rozłożystość dolinną, wodną i górzystą, ozdobność naturalną krajobrazu w połączeniu ze wzniosłością dzieł szlachetnego intelektu ludzkiego. Ma świątynie, klasztory i pałace z rozległemi parkami, dwory i dworki z cienistemi ogrodami i podwórzami i wszędzie poza kilku głównemi ulicami ujawnia górowanie elementów wiejskich nad urbanistycznemi. Pojęciu miasta wciąż zaprzecza jakaś zielona uliczka, kręty zaułek, kwitnący dziedziniec lub ogródek, jakiś sad warzywny, gaj brzozowy lub zbożowe pole; nawet nieśpieszni przechodnie, paniusie w staroświeckich mantylkach lub kościelne kumoszki i dzieci, rozbawione w zarośniętem podwórku, gdzie jakaś ławka tuli się do starej lipy, a bzy i akacje umilają miejską szarzyznę.

Wilno jest rozproszone[1]), jakgdyby rozwodnione w tym zalewie sielskości magnacko-szlacheckiej. Schodzi na plan drugi i znika wszystko, co stanowi wielkie miasto: bloki czynszowych kamienic, zgiełkliwe rojowisko banków i magazynów, wszystko, co bezstylowe, hałaśliwe, pstre i uprzykrzone. Wędrowiec, który zechce ominąć kilka głównych arteryj wileńskich, potrafi przejść całe miasto bocznemi uliczkami zachowując wrażenie spokoju, ciszy i roślinnego otulenia, jak na głębokiej prowincji. Duch ziemi władnie dotychczas Wilnem i objawia się nietylko w krajobrazie, ale i w charakterze mieszkańców, zwłaszcza klasy średniej i prostego ludu. Stan średni pochodzi przeważnie ze sfer ziemiańskich, zdeklasowanych w ostatniem półwieczu. Lekarz, adwokat, inżynier, urzędnik, jeśli nie należą do elementu napływowego, mają zawsze w zanadrzu ideał własnego kawałka ziemi i dążą do niego wytrwale przez całe życie. A gdy któremuś udało się go urzeczywistnić, taki co sobotę skwapliwie porzuca pracę i rozrywki miasta, by powrócić do wsi, do swej przyrodzonej ojczyzny, skąd kiedyś wyszli jego ojcowie. Jakże często mieszczuch wileński jest podszyty ziemianinem wraz z wszystkiemi jego zaletami i wadami! A prosty lud wileński również pachnie raczej stodołą, niż rynsztokiem. Dość porozmawiać ze służącą, sklepikarką, dorożkarzem, rzemieślnikiem, by odczuć swoisty charakter tych ludzi, ich dobroduszną prostotę i życzliwą wylewność. Nawet w rubaszności wileńskiego ludu jest więcej pierwotnego humoru wsi, niż cynicznej twardzizny miasta, nawet w jego niezgrabnej parafjańszczyźnie więcej szczerych odruchów dziecka przyrody, niż surowej dzikości mętów wielkomiejskich. Dziewczyna wileńska może być nieładna, może mieć rysy nieregularne, dalekie od klasycznej foremności, a pomimo tego jej głos, spojrzenie, uśmiech, będą opromienione nieuchwytnym wdziękiem, który rozbraja, zastanawia i pociąga. W rozwlekłej i nieskładnej gadaninie stróża lub woźnego, w jego prostodusznem wejrzeniu i ostrożnej powściągliwości odkrywa się nieraz takie złoża dobroci i uważnej delikatności, których mogłyby im pozazdrościć szczyty cywilizacji. Sielski i bardzo ludzki jest charakter rdzennych mieszkańców Wilna.

Niema w tem zresztą nic dziwnego. Środowisko kształtuje na swój obraz i podobieństwo, a ci ludzie wyszli niegdyś z ziemi i jeszcze o niej nie zapomnieli. Inaczej urabia człowieka nawarstwienie kamiennych skrzyń, kryjące glebę żywą i odgradzające jej wygnańców od widoku nieba swą więzienną brzydotą. Miasto, które stwarza przymus deptania sobie wzajem po piętach i zatruwania każdej chwili stadną wspólnotą, takie miasto musi utrzymywać człowieka w barbarzyńskiej nieznajomości ziemi i nieba, drzew i wód, powietrza i przestrzeni. Zabija zdrowe pojmowanie życia, zgodnego z przyrodą, rodzi tępą obojętność lub wzgardliwą wrogość względem wszystkiego, co nie jest mieszczańskiem żerowiskiem. Więc charakter jego mieszkańców formuje się zgodnie z otoczeniem, staje się twardy, gorączkowy, upośledzony i jednostronny.

A Wilno? Jakże ono kształuje człowieka? Wilno nie kryje gruntu i trawy kamienną powłoką wielopiętrowych kwartałów i betonowych opancerzeń! Najwyżej próbuje — i to z niewielkiem powodzeniem — przysłonić matkę-ziemię kociemi łbami polnego brukowca, wśród którego nieproszenie wyrasta trawa, zadając kłam pretensji miasteczka do sztywnego stołecznego sprężenia. Wilno gnieździ się i rozkłada na otwartym obszarze pierwotnej ziemi, pełnej roślinnego bogactwa, którego nie są w stanie zniszczyć ojczymowie municypalni mimo wszelkich wysiłków. Zbyt zasobne jest na to Wilno, zbyt hojnie uposażone przez naturę. Splażono cały niemal dorodny las sosnowy na Zwierzyńcu, przetrzebiono dębowe gaje w kolonji koło Rossy, zwalono w ogrodzie Botanicznym szacowne topole, pamiętające profesora Jundziłła i erę mickiewiczowską, co roku niknie cichcem po nocy jakaś aleja lub grupa drzew, a Wilno, pomimo tej macoszej opieki, jest zawsze zielone i kwitnące, jak szlachecka sadyba i wita przechodnia szumem konarów i miękką uległością polnej ścieżki. Nie odtrąca twardym betonem uprządkowanego chodnika i wyślizganej jezdni, lecz pozwala nogom przylgnąć do podatnego gruntu i spocząć na gościnnej darninie. Trzeba tylko zboczyć nieco z magistrali na te różne Bakszty i Subocze, Hajdy i Piekiełka, Popowszczyzny i Safjaniki, by z ulgą poczuć pod stopami glebę niezakutą w niewolę głazów, bliską, oddającą się swem drgnieniem przychylnie, jak uścisk przyjacielskiej ręki. To samo odczują oczy. Wilno nie zasłania niebieskiego sklepienia odrutowaniem więziennych ciemnic — jak przed wiekami spogląda rozwartemi źrenicami placów, podwórzy i ogrodów, żyje pod niebem łaskawem, malowanem chmurami; pod ogromną, wszechobecną kopułą niebios żyje tak samo, jak każdy dwór wiejski i jak każda mieścina.

Wilno nie śpieszy się i nie tłoczy. Nie pomija tego, co odwieczne, w pogoni za przemijającemi błyskotkami. W Wilnie ma się czas, by spokojnie przystanąć w załomie uliczki, gdzieś na Bakszcie i popatrzeć, jak wznosi się, spada i faluje czerwono-zielona panorama Zarzecza, jak górują wileńskie Hradczany — Misjonarskie zwieńczenie kościelne, wyrastające wytworną strzelisto-

---

[1]) Mówiąc tak, mam oczywiście na myśli Wilno prawdziwe — stare polskie Wilno, ciągnące się od Ostrej Bramy i Rosy, do Śnipiszek i Antokola. Pomijam rosyjsko-żydowską „Wilnę" schyłku XIX wieku, jak się pomija garść śmieci, rzuconych przypadkiem do drogocennej amfory.

ścią swych wieżyc. Ma się czas pomarudzić na skrzyżowaniu zaułków, gdzie nagle wykwitnie sylweta Dominikanów lub Wszystkich Świętych, jakby stworzona po to, by dokomponować układ staroświeckiego sztychu. Ma się czas posłuchać, jak biją nieszporne dzwony, na których głos suną „chusteczkowe" i „kapeluszowe" paniusie z wytartemi książkami do nabożeństwa, wreszcie pójść w dzień targowy na rynek łukiski i pogapić się na barwny kilim, utkany z owoców, warzyw i postaci ludzkich, a potem podnieść oczy wyżej i ucieszyć je widokiem klonowego bukietu, ponad który wznoszą się rumiane wieżyce Świętego Jakóba i bodą krzyżami pierzastą biel obłoków — zupełnie jak w małomiasteczkowej parafji. Czerwienieją śniade mury kościoła, jarzą się łamane kondygnacje dachówek, malowane coraz barwniej, fjoletowe cienie podkreślają bryłowatość załomów, a kościół gorącem spłonieniem żegna słońce, co zachodzi gdzieś koło gór Szeszkini i prześwieca jeszcze poprzez czarną smugę zwierzynieckiego lasu.

Wilno gra kolorami pejzażu i architektury i śpiewa zgodnym zespołem dzieł boskich i ludzkich. Wilno modli się smukłemi wieżami białych kościołów — przemawia legendą kamieni i pomników — gaworzy echem podwórzy i zaułków — bytuje cichym trybem życia prostego i niezłożonego. Żyje w dwudziestym wieku nie o wiele inaczej, niż niegdyś okoliczny pan-szlachcic, chłop-rolnik i łyczek-rzemieślnik, żyje wolno i spokojnie, raczej wioskowo, niż po miejsku, raczej wzwyż i wgłąb, niż wszerz i dookoła.

Słowem — Wilno jest miłe i pełne wdzięku dlatego właśnie, że nie jest miastem nowożytnem, lecz tą samą wsią, tym samym sadem, polem i gajem, jakie są w całym kraju, tą samą ziemią, cudownie stężoną swemi motywami na małym skrawku powierzchni pagórkowatej, rzecznej i falistej. A jednocześnie jest dworem i pałacem, świątynią i klasztorem, rozłożystym parkiem i zacisznym ogrodem, zbiorem dostojnych gmachów i drogocennych pamiątek, pomnikiem wielkości ducha narodowego i świadectwem jego niezniszczalnej mocy. Łączy w sobie wdzięk pejzażu z majestatem architektury, mądrze podkreślającej naturalne zalety położenia i wyzyskującej je dla okazałych kompozycyj dekoracyjnych. A na swej malowniczej palecie posługuje się najchętniej trzema naczelnemi barwami: świecącą bielą murów, spatynowaną czerwienią dachów i soczystą zielenią roślinnej szaty.

Właściwy dawny gród wileński, złożony z jedynej osiowej ulicy od Ostrej Bramy do Katedry wraz z rozwidleniem ulicy Niemieckiej i Wileńskiej przy ratuszu i z siecią przyległych uliczek drugorzędnych, jest jakby przypadkowym epizodem miejskim, wplecionym pomiędzy rozłożyste kompleksy pałacowe i klasztorne. Gród ten całą strukturą zaprzecza istocie nowoczesnego miasta i co krok ujawnia swą odrębną historję, ziemiańską i szlachecką. Na początku były góry i rzeki, gęste połacie leśne i niebo ponad tem wszystkiem. Książęta i królowie zbudowali zamki na górze i u jej podnóża, wznieśli Katedrę na brzegu Wilenki, dzwonnicami kościołów i ogrodami klasztorów naznaczyli szlak główny do cudownej kaplicy Ostrobramskiej. Panowie i szlachta, wielmoże i biskupi zaludnili ten szlak fasadami pałaców, okolami dworów, gęstwiną parków i zieleńców. Mieszczanie zbudowali pośrodku ratusz i kramy, — i na tem w grubszych zarysach skończyło się całe Wilno. Miejska reszta, to tylko drugorzędne uzupełnienie przerw powstałych w tym grodzie świątyń, pałaców i dworów, to nikły wtór kilku głosów w grzmiącej, organowej hosannie.

Więc Wilno jest sielskie i mówi o tem głosem miękkim, jakgdyby nieco zawstydzonym. Przypomina Mickiewiczowską litwinkę w porannym stroju domowym; wygląda w tym stroju prześlicznie, ale uważa, że „do gości" wypadałoby być ubraną inaczej. Obok tego Wilno jest monumentalne i świadczy o tem milczącem dostojeństwem wiekowych murów. Ten przedziwny dwugłos to rozbrzmiewa wspólnie, to rozgałęzia się i płynie oddzielnemi strumieniami, ale nigdy nie tworzy rozdźwięku. Całość przemawia zawsze zgodnym akordem lirycznego uśmiechu wśród kamiennej zadumy przeszłości. Przemawia oczywiście nie do wszystkich. Wobec stołecznego snoba lub amerykanizującego komiwojażera Wilno zazdrośnie kryje swe wdzięki, ukazuje obojętnie swoje braki cywilizacyjne i pozostawia przybyszom łatwe zwycięstwa dworowania ze swych brukowych „kocich łbów" i zacofanych urządzeń. Zupełnie zresztą tak samo, jak wileńska dziewczyna z przedmieścia, w której płytki gość przelotny dostrzeże tylko nieregularne rysy twarzy, niezręczność wysłowienia lub niemodną sukienkę. Bo nie dla snobów i komiwojażerów jest przeznaczony ujmujący i tkliwy wdzięk wilnianek i nie dla nich — czarowny uśmiech Wilna, obydwa subtelnie płochliwe i odsłaniające się jedynie w godzinie przyjaznej uwagi, w atmosferze serdecznego obcowania.

Dla tamtych prawdziwe Wilno jest zamknięte, milczące. Czy warto wywnętrzać się przed barbarzyńcami, którzy gonią za błyskotkami i nie znają się na półtonach? Wilno przemawia nie do każdego, bo mówi głosem przyciszonym i tylko o sprawach prostych, albo wielkich. Nie jest zdolne do wykrzyków jarmarcznego zbiegowiska, nie umie zachwalać swej wartości, — woli by się życzliwi sami na niej poznali. I ma słuszność. Znamy przybyszów z dalekich krańców Polski, którzy potrafili dojrzeć istotne oblicze Wilna i głosili jego chwałę słowem kunsztownem i mądrem. Znamy obcych entuzjastów Wilna, wiernych jemu aż do grobu. Codziennie spotykamy przyjezdnych, dla których poznanie Wilna jest rewelacją i głębokiem przeżyciem duchowem. Ale znamy i takich, co po krótkim czasie opuścili miasto z obojętnością, albo co gorsza, ze złośliwem szyderstwem, ponieważ nie znaleźli tam rzekomo niczego, prócz prostactwa, braków i niewygody. Nie umieli dostroić do tego szczególnego zjawiska swoich oczu, uszu i serc. I nie dowiedzieli się nigdy, że Wilno jest przedewszystkiem sprawdzianem inteligencji i intuicji, sprawdzianem delikatnym i niebezpiecznym, że jest ono próbą najgłębszych pokładów jestestwa ludzkiego, czarowną, a zgubną zasadzką. Bo Wilno, choć niepozorne, łagodne i ciche, rozróżnia niemylnie i odrzuca bezlitośnie ludzkie plewy od szlachetnego i zdrowego ziarna.

(Dok. nast.)

JAN BUŁHAK

NA WIDOWNI

Cytat z Mochnackiego. — Naród to nie wynalazek lat ostatnich. — Dyskusja z pp. Piwowarem i Polewką. — Literatura patrjotyczna i literatura narodowa. — Pańszczyzna propagandy.

PRZED STU zgórą laty Maurycy Mochnacki pisał w swem dziele „O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym":

„...naród nie jest to zbiór ludzi, zamieszkałych na przestrzeni, określonej pewnemi granicami... Takie zbiory indywiduów są nakształt cząstek materji, zostających między sobą w słabym związku mechanicznym, który środki mechaniczne łatwo rozrywają i niszczą...

Wszelki lud rodowity i historyczny, w historję świata zachodzący, jest jako roślina w patrjarchalnej osiadłości: z nasion na ojczystym rozkwita gruncie, a potem za błogosławieństwem nieba w wysokie, cieniste drzewo wyrasta... Życie historyczne wszelkiego ludu jest, zdaniem mojem, nie co innego, tylko ciągły, nigdy nie przerwany proces uobecniania się samemu sobie, od początku, od kolebki, przez wszystkie pośrednie czasy. Jest to pojmowanie, czucie samego siebie w całym przestworze rodowitego bytu. Poczuwajmy się we wszystkich czasach swoich, żebyśmy mieli wszystkie kolejne wieki naszego bytu w każdym momencie przytomne, tak żeby za każdem uderzeniem pulsu, i w każdem nieledwo tchnieniu naszego życia, wywijało się z zapadłej niepamięci minione, zatracone narodu jestestwo... Tylko taki naród jest nakształt drzewa poświęconego, które wiekami bezprzestannie zielenieje i bezprzestannie kwitnie;— w burzy, w pogodzie, bez przerwy..." [1])

W jakim celu przytoczyłem ten urywek? Poto przedewszystkiem, ażeby przypomnieć, iż zupełnie jasna świadomość, co to jest naród, całkiem wyraźne odróżnienie tego pojęcia od zamieszkałej w obrębie danych granic państwowych ludności, nie jest wytworem nacjonalizmu ostatnich lat dziesiątków, nie jest odkryciem Maurras'ów, Corradinich czy Popławskich. Mądrość to o wiele dawniejsza, nawet w słowach wciąż jednakich wyrażana, i, doprawdy, komplementem niezasłużonym jest mniemanie, że nieznajomość jej—to zapóźnienie w przyswajaniu sobie zdobyczy umysłowych zaledwie o jedną czy też dwie generacje. W epoce romantyzmu dzisiejsza „ideologja państwowa" równie napewno śmieszyłaby swą ignorancją, jak w dobie teraźniejszej...

Inna rzecz, iż w rozmaitych momentach dziejowych są tendencje, żeby pojęcie narodu zacieśnić, zubożyć. Tenże Mochnacki, jeden z najświatlejszych pisarzy swoich czasów, o umysłowości bynajmniej nie sekciarskiej, za narodowych poetów polskich uznawał dopiero romantyków, odmawiając tego epitetu znakomitym nawet autorom dawniejszym. Miał i on także swoją doktrynę literatury narodowej, w której nie wszystko, co polskie, mogło się zmieścić.

Refleksje te nasunęło mi wspomnienie dyskusji publicznej, w jakiej przed tygodniem brałem udział w Krakowie, zorganizowanej przez Koło Polonistów Słuch. Un. Jag. Literaci miejscowi, pp. Piwowar i Polewka, przedstawiciele skrajnej lewicy społecznej, przypierali mnie do muru natarczywem pytaniem: „Gdzież są ci pisarze narodowi?! Gdzie te narodowe talenty, gdzie ich arcydzieła?!" Oczekiwali, że wymienię jakieś nazwiska, zgóry uzbrojeni w argumenty krytyczne, przewidując, o kim będzie mowa.

Jakże szczerze zadziwili się, usłyszawszy odpowiedź: „Pisarze narodowi — to wy, właśnie, panowie! Każdy z nas jednakowo do narodu należy. Polska literatura narodowa istnieje od wieków, a pomnoży się tem, co wy jej dodacie, tyle warta, co wart Polak piszący—swym talentem, umysłem, charakterem". Jakże trudno ludziom oswoić się z myślą, że naród jest naprawdę... narodem, a nie czemś węższem, jakąś zzewnątrz oglądaną koterją czy doktryną...

W dyskusji ujawniło się też, często spotykane nieporozumienie, mianowicie nierozróżnianie literatury patrjotycznej i literatury narodowej. Są to pojęcia zachodzące jedno na drugie, lecz bynajmniej nie pokrywające się wzajemnie. Jakim francuskim, narodowym pisarzem był np. Maupassant w każdem swem słowie, porównaniu, dowcipie, jaki francuski był w całym swym sposobie myślenia i wyobraźni, a jakże rzadko, w jego tak bogatej twórczości, spotykamy motyw patrjotyzmu! Z drugiej znów strony, utwory o temacie patrjotycznym mogą, jak wiemy, dostarczać narodowi nawet cudzoziemcy, czy to z sympatji dla niego i jego sprawy (np. „Warszawianka", „Tysiąc walecznych"...) czy też niekiedy nawet, poprostu, na obstalunek. I często właśnie w tej „patrjotycznej" poezji obcość pisarza uzewnętrznia się w sposób najbardziej rażący.

Objaśnijmy to na pierwszym lepszym przykładzie. Oficjalna „Gazeta Polska" zamieściła niedawno (nr. 306/34) oficjalnie „państwowy" wiersz Juljana Tuwima p. t. „Gdynia". Ostatnia zwrotka brzmi jak następuje:

„I gdy pięść, twardniejąc w kastet,
Mocniej ściska pierścień ślubu,
Usta, za kraczącem ptactwem,
Mruczą wrogom: „Spróbuj... spróbuj...""

Otóż Polak, („rodowity" — jakby się wyraził Mochnacki) nigdy napewno nie wpadłby na oryginalny pomysł, że granic Państwa broni się przed nieprzyjaciółmi — kastetem; we krwi, w instynktach ma odmienne wspomnienia: miecza, szabli, kosy. Ale p. Tuwim, podświadomie zupełnie, gdy chce nastroić się na najpatetyczniejszy ton tragizmu dziejowego, oczyma duszy widzi przed sobą coś jakgdyby „pogrom" w żydowskiej dzielnicy: mimowoli całkiem „mruczy wrogom"—„Spróbuj Hitlerjo! I was podobnie mogą jeszcze walić po głowach kastetami!"...

Nierozróżnianie literatury patrjotycznej i narodowej prowadzi do jeszcze jednego błędu, mianowicie ustawicznego żądania od tej ostatniej usług propagandowych. Tu jest, być może, ważna przyczyna niewspaniałego dziś rozwoju piśmiennictwa w „państwach totalnych". W gruncie rzeczy bowiem, wbrew pozorom, służba owa odbarwia twórczość, wyjaława ją z treści wewnętrznej, w podobny sposób, jak w poprzednim okresie hasło: „sztuka dla sztuki".

Propaganda jest rodzoną siostrą reklamy. Tak jak i ona, oddziaływa suggestją, nie wzruszeniem. Tak jak i ona jest więc głównie popisem majsterstwa technicznego, wirtuozerji w używaniu środków, hypnotyzujących masy, w istocie swojej niewiele różniących się od siebie, czy idzie o za-

---

[1]) Maurycy Mochnacki: „O literaturze polskiej w wieku dziewiętnastym", tom I, Poznań, 1845, str. 51—52, 54—56.

chwalanie pasty do trzewików, czy nowego politycznego ustroju. I w niczem może kapitalistyczno-żydowski sposób myślenia nie wyraził się w sposób bardziej jaskrawy, jak właśnie w idei, że sztuce, w całokształcie życia państwowo-narodowego, przypaść powinna mniej więcej taka sama rola, jaką posiada, w wielkiem przedsiębiorstwie przemysłowo-handlowem, umiejętnie i z nakładem pieniężnym prowadzony — dział ogłoszeń.

Literatura narodowa — to nie afisz, nie plakat. To kwiat na owem drzewie Mochnackiego, które „wiekami bezprzestannie zielenieje". Daremnie zastanawiać się tu nad celowością: czy kwiat jest poto, by się w owoc zmienił, czy owoc, aby zeń wyrosły nowe kwiaty. Wystarczy wiedzieć, że „stoi mocno i bezpiecznie na pniu to drzewo, jeśli ssie pokarm z ziemi, jako z piersi macierzyńskich. Korzeniem jego jest przeszłość historyczna"...

JAN REMBIELIŃSKI

GŁOSY

JESTEŚMY KRAJEM SZCZEGÓLNEGO NACJONALIZMU: narodowe mogą być u nas pożyczki, ale nie konstytucje. I o dziwo: to, co uchodzić ma za czczą poezję w konstytucji, uważane jest za zdrowe wyrachowanie w operacji finansowej... „Naród" pojawia się w niespodziewanych miejscach: tam szkodzi, tu znów pomaga. Stąd go płoszą, tam przyzywają. Czy te nieskoordynowane poglądy współczesnych mają jakąś szansę utrzymania się i przetrwania? Czy osobliwości te — dziś urzędowe i jednające dla siebie cześć, oddawaną temu, co urzędowe — będą uszanowane także przez przyszłe pokolenia? Nie bawiąc się we wróżby, stwierdźmy, że prawdopodobieństwo to jest nikłe. Każda konstytucja niewątpliwie odbija poglądy, w danej dobie panujące. Czy ta nowa, której uchwalenia przez stronnictwo współpracy z rządem spodziewać się rychło można — okaże się tworem długowiecznym? Na pierwszy już rzut oka nieprawdopodobne się wydaje, aby nastać miał kiedykolwiek w historji narodu drugi okres tak nadzwyczajnej ostrożności, jak ta, która teraz, przygotowując tekst konstytucji, ominęła starannie wszelką wzmiankę o narodzie. Tylko nadzwyczajny i niepowtarzalny chyba zbieg warunków dziejowych stworzyć mógł dzieło tak ostrożne. Cecha ta w oczach współczesnych entuzjastów stanowi wprawdzie główną zaletę projektu; entuzjastów takich niewątpliwie dziś nie brak, ale czy nie wymrze szybko ta rasa zapaleńców, którzy dziś umieją upajać się tym szczególnym brakiem „poezji"? Podnieta taka chyba nie starczy na długo. Raczej przewidzieć należy czasy, kiedy rozpoetyzowanie ogółu dojdzie znów do tego stopnia, że konstytucje jawnie przypominać będą, iż państwo istnieje dla narodu. I taki szał wydaje nam się stanem o wiele bardziej normalnym, niż dzisiejsza ostrożność. — Najbardziej uderzającą cechą tworów politycznych aktualnej doby w Polsce jest właśnie — ich chwilowość. Do powstania swego wymagały niezwykłych w historji naszej i już dziś przemijających warunków — przejściowego stanu między niewolą, a powrotem do równowagi moralnej. Utrwalić się mogłyby tylko wtedy, jeśli w narastającem pokoleniu zagłuszą poczucie tego, co w narodzie o naszych cywilizowanych tradycjach jest normalne. Że zaś poczucia tego w żaden sposób nie zagłuszą — są chwilowe. Potrzeba normalności staje się coraz silniejszą i coraz wyraźniej uświadamianą tęsknotą — a jest to również tęsknota za budownictwem politycznem, któreby nie było w stylu olbrzymiego szałasu. Dzisiejszym prawodawcom, którzy mądrości politycznej nauczyli się wyłącznie od zaborców, wydaje się to obłąkaniem, że naród chce powrócić do budownictwa solidnego w stylu swoich gustów i wzorów historycznych, lecz nie potrafią go sparaliżować propagandą: on „oszaleje" i postawi sobie własny dom.

PO BARDZO DŁUGIM OKRESIE ZASTOJU mnożą się symptomy fermentacji ideowej, zwiastującej erę większej samodzielności politycznej młodych. Ferment ten, nawet burzliwy, naszem zdaniem uważany powinien być za stan przejściowy od ideologji rozbicia narodu do ideologji jedności narodowej i normalizacji politycznej. Jak zaznaczyliśmy, stan ten ogarnął tylko umysły młodsze; starsi nie fermentują. Wskutek tego prasa oficjalna stronnictw — zwłaszcza prorządowych — zmian powyższych w opinji zupełnie nie odbija. Ferment ideowy uzewnętrznienie znajduje raczej w rozmowach, niż w druku. Echa tych rozmów przerywają czasem monotonję zwykłego toku wywodów dziennikarskich; ale w perjodykach, dających wyraz poglądom młodszej generacji odgłosy te rozbrzmiewają częściej. Czasem ta funkcja ogniskowania dyskusji spełniana jest przez organ, bardzo konsekwentnie orędujący określonej idei. Wśród znanych nam perjodyków rolę tę w sposób szczególnie zajmujący spełnia „Głos Monarchisty". Miesięcznik ten wyróżnia się w chórze głosów opinji przez połączenie nieustępliwości w obstawaniu przy doktrynie monarchistów francuskich — z wrażliwością na zmiany, zachodzące w młodej opinji narodowej. Hołdując poglądom, w których wyznawaniu jest odosobniony „Głos", dzięki szczerości swej ideologji narodowej, winien być jednak uznany raczej za czynnik, współdziałający w konsolidowaniu opinji, niż utrwalający dzisiejsze rozbicie narodu. Spełnienie tej podwójnej funkcji możliwe jest dzięki niezależności redaktorskiej. Naród jest wspólnotą głębszą, niż jakakolwiek dorywcza organizacja polityczna. Im niezależniej i głębiej, im indywidualniej potrafi myśleć polityk, tem głębiej też będzie narodowy, i w tem większej mierze działalność jego będzie czynnikiem stroju, nie rozstroju. Uwydatniając swoją odrębność, jednocześnie mocniej się zsolidaryzuje z podstawową, cywilizacyjną wspólnotą narodu. W ten sposób, nie darząc doktryny monarchistów francuskich tem samem zaufaniem intelektualnem, co redaktor „Głosu", p. Gembarzewski, nie różnimy się odeń stanowiskiem, gdy chodzi o obronę tak licznych, poniewieranych w dzisiejszej dobie dóbr polskiej cywilizacji. Właśnie dzięki niezależności opinji, przez „Głos" wypowiadanej, możemy się z nim tak zgodzić.

Jakże szybko życie publiczne w Polsce znalazłoby dla siebie godniejszy wyraz, uporządkowało i zestroiło, gdyby regularniej i częściej w monotonnym rozdźwięku dzisiejszych sporów, dawały się słyszeć głosy indywidualne!

NAUKA i LITERATURA

„POKOSY"

PAMIĄTKĄ niedawnego jubileuszu Emila Zegadłowicza jest pięknie wydana w Wadowicach książka p. t. „Pokosy", obemujmująca wybór poezyj za lata 1907 — 1932. Nie jest to w znaczeniu ścisłem antologja, gdyż kierowano się nie zasadą „najlepszości" utworów (zresztą zawsze względną, a nieraz zawodną), lecz zasadą chronologiczną; z każdego dotychczasowego poetyckiego tomu Zegadłowicza dano wyjątki najbardziej chayakterystyczne, te, które najlepiej ilustrują rozwój jego poglądów. Stosunkowo dużo zamieszczono wyjątków z jego książek najpierwszych („Powrót", „Nad rzeką"), co niewątpliwie było potrzebne nietylko dlatego, że książki te są oddawna wyczerpane, ale i dlatego, że one to właśnie stanowią najlepszy komentarz do pierwszych, powszechnie znanych tomów „Mikołaja Srebrempisanego".

Ciekawą jest rzeczą, że nie zamieszczono ani jednego urywka z „Wejścia Ralfa Moora", pomimo że utwór ten jest charakterystyczny dla okresu, kiedy Zegadłowicz należał do czynnych pracowników „Zdroju" i był chlubą tego pisma, jako jeden z nielicznych talentów na tle panującej tam zresztą szarej przeciętności i pretensjonalnej nudy; pomimo wszystko, ten czołowy utwór „Zdroju" należy do najsłabszych w całej twórczości Zegadłowicza, z czego autor widocznie zdawał sobie sprawę, skoro do zamieszczenia go w „Pokosach" nie dopuścił. Natomiast możemy mieć pretensję, czy to do niego, czy do wydawców, że w wyborze omawianym dano tylko jeden wyjątek z „Powsinogów beskidskich". Najsławniejsze to dzieło Zegadłowicza, które znalazło tak potężny oddźwięk w literaturze polskiej (a także i zagranicą, o czem świadczą nader liczne przekłady czeskie, jeden z nich prześlicznie wydany w Morawskiej Ostrawie w r. z.) — powinno było być silniej uwzględnione. Najobszerniej zaprezentowano „Dęby pod pełnią" i „Nad brzegami Zodjaku", więc te zbiory, które zapoczątkowały nową fazę w twórczości Zegadłowicza, nowy jego „Powrót" na gorzeńską ojcowiznę.

Układem wyboru zajął się młody badacz (autor pracy doktorskiej — o „Czartaku") p. Kazimierz Foryś, który jako „Wadowita" mógł nietylko śledzić oddawna rozwój twórczości swego ziomka, ale i rozumieć dobrze podłoże, z którego twórczość ta wyrosła. Dlatego to prócz bibljografji (najpełniejszej, jaka dotąd wyszła) dał zwięzły, ale wnikliwy wstęp, w którym ujął podstawy Zegadłowiczowskiej poezji w cztery główne punkty: regjonalizm, zagadnienia religijne, zagadnienia społeczne i zagadnienia przyrodnicze.

Pozatem zanotować należy — z okresu „jubileuszowego" — szereg nowych książek Zegadłowicza, które narazie są niedostępne dla szerszej publiczności, gdyż wyszły w edycjach bibljofilskich, często w dwudziestu lub trzydziestu egzemplarzach. Do takich np. należą „Łąki budziejowickie", piękna „Duma o obronie Szigetu" (jakby *antidotum* na austrjacko - patrjotyczno - ckliwy dramat Körnera o Zrinyim-Zrińskim, jakim raczono niegdyś młodzież naszą w gimnazjach galicyjskich!), a wreszcie „Podkowa na progu", osobliwość drukarska, tłoczona w słynnej florenckiej typografji Tyszkiewiczów. Poemat ten to jakby *„credo"* poety: wykład jego poglądów na świat, jego — że tak powiemy — filozofji. Nie są te poglądy ujęte jasno i zwięźle, to też czasami zrozumienie ich uzyskać można dopiero na podstawie ich związku z innemi dziełami Zegadłowicza.

Natomiast książką, która spoufala czytelnika z autorem, są „Podsłuchy" (Hoesick, 1933). Jest to najszczerszy wyraz bezpośredniego zżycia się Zegadłowicza z przyrodą stron ojczystych. Rzewny liryzm opromienia tu śmierć bociana, rzewny humor towarzyszy krokom szczypawki, przedzierającej się z trudem przez łan zboża; niewinna satyra na literatów-intelektualistów kryje się w bajce o tomiku poezyj, leżącym na miedzy i stanowiącym przedmiot obserwacji: wiatru, chomika i rosnącego na polu karpiela (brukwi). Tu jest Zegadłowicz u siebie, w swej ojcowiźnie, w swym Czarnolesie; na glebie własnej tworzy mu się najlepiej i najpiękniej. Każde „Odejście" (Ralfa Moora) może wzbogacało jego doświadczenia życiowe, może rozwijało jego techniczną sprawność stylu — ale nie wydobywało zeń tego, co w nim najbardziej istotne i wartościowe.

Takie wrażenie odnieść możemy i wtedy, gdy czytamy kolejno „Dramaty" jego, wydane w dwu tomach nakładem J. Kawalera w Szamotułach. Na szczycie postawić należy niewątpliwie „Lampkę Oliwną" — jeden z najbardziej oryginalnych dramatów polskich po wojnie, mający siłę i konsekwencję tragedji greckiej. Zajmuje on w twórczości Zegadłowicza stanowisko równie wysokie, jak — pokrewne mu pod wieloma względami — „Powsinogi". Z tego też względu żałować należy, że dotąd nie doczekała się wydania komedja-groteska jarmarczna Zegadłowicza „Łyżki i księżyc". W „Alceście" są sceny niemal mogące iść w zawody z Eurypidesem, którego temat (bez zależności najmniejszej) poeta podjął. Jest to drugi szczyt twórczości dramatycznej Zegadłowicza. „Głazowi granicznemu" szkodzi pewna mglistość religijnych koncepcyj, „Betsaba" jest raczej utworem lirycznym, niż dramatycznym. Poemat dramatyczny „Wigilje" — rzecz natchniona „Faustem" — jest jakby utworem autobiograficznym (*pendent* do „Srebrempisanego" a zarazem programowo-ideowym, wiążącym „Balladę o krakowskim teatrze" z „Podkową na progu". J. B.

KORPORACJONIZM FASZYSTOWSKI

W ZESZYCIE pierwszym z r. b. kwartalnika p. t. „Ruch Prawniczy, Ekonomiczny i Socjologiczny" (Poznań) znajdujemy artykuł p. t. „Tendencje rozwojowe w korporacjonizmie faszystowskim" ks. dr. Antoniego Roszkowskiego, docenta Uniw. Poznańskiego. Zagadnienie bowiem przebudowy ustroju społeczno-gospodarczego, zarówno pod względem swej istoty, jak i konsekwencyj, stanowi zawsze przedmiot zainteresowania, tak dla ludzi nauki, jak i dla szerokiego koła inteligencji. W dobie zaś obecnej nabiera ono szczególniejszego znaczenia, ze względu na przeżywany przez cały świat kryzys ekonomiczny i powstałe w związku z tem dążenia do wprowadzenia reform od podstaw w życiu społeczno-gospodarczem.

Italja, poza Rosją sowiecką, pierwsza dokonała gospodarczego przewrotu.

W 1922 r. odbył się kongres robotniczych związków zawodowych o tendencjach nacjonalistycznych. Tutaj został przyjęty za podstawę tego ruchu zawodowego program, wypracowany przez M. Bianchi'ego. Uwydatniają się w nim tendencje następujące: 1) podkreślenie pierwiastka wychowawczego w stosunku do mas robotniczych; 2) uznanie funkcji historycznej kapitalizmu i kapitału; 3) podporządkowanie celów indywidualnych celom ogólno-państwowym i 4) schodzenie z terenu idei walki klas i przyjmowanie zasady ich współpracy.

Syndykaty faszystowskie i związki robotnicze w 1925 r. zawarły umowę, w której obie strony uznały, że wyłącznie reprezentują przedsiębiorców i robotników Italji.

W państwie, gdzie całe życie parlamentarne, gdzie wszelka kontrola opinji publicznej przestała istnieć, stało się konieczne, aby każdy projekt ustawy lub dekretu spotkał się z przychylnem przyjęciem ze strony warstw gospodarczo najbardziej wpływowych.

Zasadnicze podstawy dla całokształtu dalszych reform, dokonywanych przez faszyzm w dziedzinie życia społeczne-

go, zostały zawarte w „karcie pracy", wydanej przez Wielką Radę Faszystowską w dniu 21 kwietnia 1927 r. Stosownie do art. I „karty pracy": „Naród włoski jest organizmem, mającym cel, życie i środki działania potężniejsze i trwalsze, niż jednostki odosobnione lub zrzeszone, które się nań składają. Cechą specyficzną państwa faszystowskiego jest jego etyczny charakter. Normą etyczną działalności jest naród.

Praca jest obowiązkiem społecznym, a państwo jest społeczeństwem wytwórców.

Celami państwa korporatywnego są: dobrobyt jednostek i potęga narodu. Podstawą rozwoju społeczno-gospodarczego pozostaje własność prywatna i inicjatywa prywatna, a interwencja państwa w dziedzinie produkcji, podjęta ma być, skoro tego wymaga interes polityczny państwa oraz brak dostatecznej inicjatywy prywatnej".

Tworzenie syndykatów jest zasadniczo wolne, atoli działalność syndykatu nie może rozwijać się przeciwko państwu.

Federacje poszczególnych gałęzi produkcji narodowej łączą się, tworząc konfederacje, które reprezentują i normują daną gałęź produkcji.

Wszolkie spory powstałe z tytułu umowy o pracę rozstrzyga sądownictwo pracy.

W 1932 r. powstała Narodowa Rada Korporacyj jako ciało doradcze i opinjodawcze, która złożona z reprezentantów zainteresowanych czynników, winna starać się w imieniu państwa uzgodnić dążenia poszczególnych syndykatów i konfederacyj i zmierzać do realizacji pewnego rodzaju planowości w dziedzinie życia społeczno-gospodarczego.

Korporacje organizują w jedną całość siły wytwórcze, reprezentujące całokształt ich interesów.

W dniu 5 lutego 1934 r. została wydana ustawa, określająca ogólne podstawy dla organizacji korporacyj oraz ich cele.

Całokształt stosunków społeczno-gospodarczych Italji ujęto w 22 korporacjach, podzielonych na 3 grupy: korporacje cyklu produkcyjno-przemysłowego i handlowego, korporacje cyklu produkcyjnego rolniczo-przemysłowo-hodowlanego i korporacje dla działalności produkcyjnej usług.

Korporacja ma rozwiązywać przeciwieństwa interesów między jednostkami oraz pomiędzy grupami i koordynować je dla wspólnego celu, t. j. dobra zainteresowanych i potęgi państwa. Korporacja stanowi zasadniczą jednostkę gospodarstwa, zamiary jej zostają jeszcze skorygowane i rozpatrzone z uwzględnieniem dążeń innych korporacyj przez Narodową Radę Korporacyj. Ostateczny głos posiada czynnik polityczny—szef rządu, on ma być arbitrem pomiędzy grupami interesów i obrońcą interesu ogólno-państwowego.

Faszyzm chce przez organizacje regulować ilościowo i jakościowo produkcję, wpływać na mechanizm cen i na podział dochodu społecznego, chce wytworzyć ustrój, który z jednej strony ma usunąć ujemne strony kapitalizmu, ale zachować dodatnie strony, płynące z inicjatywy osobistej i własności prywatnej.

GUSTAW ZABŁOCKI

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Michalina Grodzicka. „Jenerałowa Zamoyska". Nakład księgarni św. Wojciecha, str. 60.

Jest to jedna z ostatnich książek wydanych, z inicjatywy Naczelnego Instytutu Akcji Katolickiej, pozostającego pod kierunkiem ks. dr. Stanisława Brossa. On też jest autorem wstępu do niniejszej książki, wydanej z okazji setnej rocznicy urodzin Jenerałowej Jadwigi Zamoyskiej, założycielki Stowarzyszenia Chrześcijańskiego Kobiet (o charakterze społecznym) oraz Szkół Pracy Domowej, prowadzonych w Kórniku, Lubomli, Kalwarji i Zakopanem.

Arcybiskup Baudrillart, rektor katolickiego Instytutu w Paryżu, w książce swej o pani Zamoyskiej, p. t. „*Une grande âme — une grande oeuvre*" (Paryż 1930), nazwał ją „wielką duszą" za jej ducha apostolskiego i współdziałanie z Kościołem.

Córka rodziców, biorących czynny udział w powstaniu listopadowem, wychowana na zachodzie w poczuciu obowiązku obywatelskiego, po przyjeździe do kraju organizuje t. zw. szkołę życia (1881 r.), która będąc szkołą gospodarstwa domowego — łączy w sobie potrójną pracę: ręczną, umysłową i duchową.

Była to na owe czasy bardzo poważna placówka społeczno-kulturalna, o niezmiernie ważnem znaczeniu wychowawczem.

Do dziś dnia istniejące Koło Kuźniczanek i Zakład Kórnicki — świadczą najwymowniej o trwałych fundamentach, na których pani Zamoyska oparła dzieło swojego życia.

Książka jest pełna cytat z jej listów i książek, które wykazują jej niepospolity poziom umysłowy oraz dowodzą jak bardzo w koncepcjach swoich wyprzedziła wiek, w którym żyła. Ona pierwsza w Polsce rzuciła hasło oparcia pracy domowej na danych naukowych i podkreślała doniosłość pracy ręcznej w kształceniu charakteru. Pod tym względem jest nawskroś nowoczesna. J. G.

*

Henri Ghéon, jeden z najwybitniejszych pisarzy katolickich we Francji, znany był u nas dotąd głównie jako autor „Pasterki w kraju wilków". Ostatniemi czasy zwrócono baczniejszą nań uwagę i w naszym kraju. Udostępniono jego książeczkę o świętym Janie Vianney, proboszczu z Ars, a podobno w przygotowaniu są i rzeczy inne. Czynem prawdziwie artystycznym jest przedewszystkiem spolszczenie Ghéonowej „Drogi Krzyżowej" (nakł. Księg. św. Wojciecha), dokonane przez świetną poetkę, Beatę Obertyńską. Jej parafraza jest niemal dziełem oryginalnem, które drga uczuciem, siłą bólu i przejęciem, takiem samem, jakie spotykaliśmy w pamiętnym wierszu Obertyńskiej o palących się stertach zboża. Poetka umie wywołać efekt wielki słowami prostemi, zwartą rytmiką krótkich zdań — zna i wagę wymownego milczenia. Czternaście stacyj drogi krzyżowej, to czternaście scen wstrząsającego dramatu. Jeżeli Arystoteles za istotę dramatu uważał *katharsis* — oczyszczenie — tedy nigdzie napięcie dramatyczne nie było równie silne, jak w ofierze oczyszczenia, jaką była męka Chrystusa...

Tłumaczka nie uwzględniła technicznej strony tego pasyjnego misterjum; usunęła polifonję djalogów, która Ghéona tak zbliża do naszego H. Rostworowskiego. Przyczyną tej zmiany był zapewne wzgląd na minjaturową formę książki i jej układ graficzny. A książka to przepiękna. Czuje się w niej wzniosłą atmosferę medycką. Wszak okładkę zdobiła Lela Pawlikowska i zrobiła to w stylu podobnym do szaty zewnętrznej tomików samej Obertyńskiej.

Utwory Ghéona powinno się dać poznać polskiej publiczności. Zwłaszcza mogłyby orzeźwić nasz monotonny repertuar sceniczny intermedja tego pisarza. Pozatem powinienby się znaleźć tłumacz — ale tęgi i kongenjalnie dowcipny — na jego „*Les jeux de l'ener et du ciel*".

(J. B.)

*

Jako ostatni tom Bibljoteki Jugosłowiańskiej ukazały się wydane łącznie dwa utwory starochorwackiej literatury: Andrzeja Cubranovic'a „Cyganka" i Iwana Gundulic'a „Dubrawka", oba w przekładzie Czesława Jastrzębiec-Kozłowskiego i ze wstępem o maskeratach i grach pasterskich w Dubrowniku, napisanym przez dr. Mihovila Kombola.

Są to rzeczy starsze, współczesne naszej „Sobótce" czy Twardowskiemu z jego sceniczną sielanką o Dafnis przemieniającego się w drzewo „bobkowe", ale bodaj że świeższe od poprzednio wydanego, a im mniej więcej współczesnego „Osmana". Nic to zresztą dziwnego, — dziś przywykliśmy epiki wysłuchiwać w prozie i od rycerskich tematów Tassa i Ariosta oddaliliśmy się bardzo; ale dusza nasza tak dalece się nie zmieniła i zaklęcia miłosne złotnika lwowskiego z XVI wieku są dla nas całkiem zrozumiałe, jak i jego gorąca prośba, „by kochania nie odtącać lekkomyślnie"...

A i forma jego „Cyganki" z kolejnemi prześpiewami do sześciu pań przypomina swojską „Sobótkę" Kochanowskiego, choć tam właśnie panny kolejno śpiewają a aura utworu odmienna — wiejska, gdy tu miejska, karnawałowa.

Także i sielanka pasterska Gundulic'a przy całym swoim archaiźmie ma sceny dotychczas świeże, prostotą swoją ujmujące; zawsze też żywy jest hymn do wolności i duma patrjotyczna hardego Dubrownika.

Zato wstęp dr. Kombola niestety ciężko i zawile napisany, choć nowy i niewątpliwie świeży, nie jest w stanie oczarować nas bujnym renesansem: bujnym barokiem słowiańskiej Wenecji, o którym wprawdzie bardzo rzeczowo, ale też i bardzo niesuggestywnie opowiada.

Na szczęście urok tych czasów żyjących chwilą („*Quant'é bella giovinezza*" Lorenza Medici) jest tak wielki, że nawet przez karty tego wstępu się przewija. (K.S.F.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

MALARSTWO W KOŚCIELE

W INSTYTUCIE Propagandy Sztuki, obok imprez przewidzianych w programie działalności tej instytucji, odbywają się także wystawy inne, urządzane jakby na marginesie tamtych. Mieszczą się one zwykle w małej salce dawnej kawiarni i trwają 2 tygodnie, choć często rodzaj i znaczenie zebranych tam eksponatów czyni je wydarzeniem artystycznem, daleko bardziej zasługującem na uwagę, niż normalne wystawy obrazów. Na dobrą sprawę, te to właśnie wystawy powinny zajmować główną salę IPS'u, przez czas dwa razy dłuższy, t. zn. cały miesiąc. Są to plony rozmaitych konkursów, ogłaszanych przez instytucje, sprawujące w ten lub inny sposób pieczę nad kulturą i jako zawody, o charakterze artystycznym coprawda, a nie sportowym, zawierają w sobie, między wieloma innemi, także pierwiastek atrakcji, w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu.

Ostatnio oglądaliśmy w IPS'ie wystawę prac konkursowych na projekt polichromji kościoła katedralnego w Chełmie. Wystawiano tylko prace nagrodzone i wyróżnione, choć właściwiej byłoby pokazać wszystko. Tu dopiero, w tak wielkiem i odpowiedzialnem zadaniu, może artysta w pełni ujawnić siebie, pokazać co potrafi zrobić mocą swej wiedzy malarskiej i talentu. Gdyż ostatecznie większość obrazów na wystawach to są tylko dowody wiedzy plastycznej, same dla siebie niejako, a nie dzieła, w których malarz tę wiedzę zużytkował. Polichromja kościoła, wprowadzając artystę w obręb sztuki religijnej, wymaga od niego wyjścia poza krąg zagadnień formalnych; dzieło, które ma służyć uczuciu, musi również uczucie malującego, do idei wyobrażonej plastycznie, ujawnić.

Obraz zmagania się artysty z zadaniem o takiej rozpiętości będzie zawsze pouczający i pożyteczne jest oglądać go, bez względu nawet na wyniki tego wysiłku, gdyż i wynik niedostateczny zarysować może w sposób interesujący stan duchowy współczesnej nam społeczności artystycznej. Podobne wystawy odsłaniają przed nami perspektywy daleko głębsze, niż pokazy nowych warjantów pejzaży i martwych natur.

Na przykładzie wystawionych projektów widzimy, że artyści z rozmaitych stron podchodzili do zagadnienia, zawsze jednak szukając oparcia nazewnątrz. A więc jeden rozumował tak: „skoro tu chodzi o malarstwo religijne, należy sięgnąć do epoki, która wydała dzieła najbardziej wiarą natchnione i skomponować coś, coby przypominało sztukę Giotta, lub Fra Angelica. Gdy tak postąpię, stworzę dzieło naprawdę religijne". Ktoś inny znalazł się przy zupełnie pozbawionej pierwiastka religijnego sztuce Rubensa, choć rozumował również w sposób nie pozbawiony pewnej logiki. Dostosował mianowicie styl malowideł do stylu architektury.

Stanowiska, zajęte przez obu artystów, zmuszają do mimowolnego naśladownictwa, przekreślając temsamem ich szczerość, tu najważniejszą. Liczenie się bowiem li tylko ze stylem, dostosowywanie dorabianej dekoracji do czegoś, co już istnieje, jest w stu procentach słuszne, gdy chodzi o polichromję, posługującą się tylko ornamentem; słowem taką, k t ó r a z d o b i, a n i e w y r a ż a, która nie zawiera w sobie innego wyrazu, poza wyrazem czysto malarskim. Tak pojęta polichromja najwłaściwsze znalazła zastosowanie na Starem Mieście. Tu malarze — eklektycy, którym, jako artystom, można zarzucić brak oryginalności, wywiązali się z powierzonego im zadania najlepiej. Ich dekoracje są sharmonizowane w typie z architekturą, a w tym wypadku t y l k o o t o chodziło.

Zupełnie inaczej ma się rzecz z polichromją kościoła w Chełmie. Tu nie uzgodnianie jest kwestją najistotniejszą, a wypowiedzenie, c z e m d l a a r t y s t y są istoty święte i sprawy, które ma na ścianach świątyni wyobrazić. Po latach, jeśli artysta ma być wyrazicielem swej indywidualności, a przez nią swojej epoki, trzeba, aby to było można z jego kompozycyj odczytać. Ale artysta współczesny przeważnie nie ma nic do powiedzenia, lub uważa własne poglądy za małoważne (wówczas się wspiera cudzym autorytetem), albo nie ma odwagi wystąpić z własnem zdaniem. To jest także jeden z wielu powodów zwracania się ku wzorom historycznym.

Dziś, gdy malarz dostaje obstalunek na kompozycję, zaczyna przedewszystkiem od wertowania kostjumologji, aby broń Boże nie popełnić nietaktu i nie ubrać którejś postaci z obrazu w strój z innych czasów, niż te, w których żyła (jeśli jest postacią historyczną). Żadna z poprzedzających naszą epok z tem się nie liczyła. Artyści wszystkich czasów, malując obraz religijny, ubierali np. osoby towarzyszące Chrystusowi w kostjumy im współczesne, noszone przez środowisko, w którem się obracał autor obrazu. Wiemy o tem doskonale, a jednak sami nie mamy odwagi postąpić w podobny sposób, cogorsza jesteśmy przeświadczeni, iż obraz religijny, z „panami w marynarkach", byłby czemś niemal gorszącem, w najlepszym razie niewłaściwem. Dlaczego? Dlaczego nie możemy dziś zająć stanowiska, które było najbardziej naturalnem rozwiązaniem sprawy dla wielu naszych poprzedników? Mimo wszystko, należy przypuszczać, iż dzieło artysty współczesnego, gdyby je potrafił nasycić potęgą wyrazu, rozpalić żarem uczucia, usunąłby w cień kwestję marynarek.

Następny z powodów wiąże się już z istotą samego stroju, który stracił dziś swój dawny charakter. Dziś ubrania różnią się tylko gatunkiem materjału i wartością uszycia. Dawniej każdy stan i zawód ubierał się inaczej; inaczej nosił się kupiec, inaczej rzemieślnik, inaczej urzędnik, inaczej mieszczanin i szlachcic. Ten strój, na codzienny, prywatny użytek, był zarazem ubiorem pewnego odłamu społeczeństwa, symbolem niejako zawodu, lub stanu. Ta jego cecha awansowała go o rangę wyżej w hierarchji ubiorów, czyniła czemś bardziej dostojnem (mimo jednoczesnej użytkowości) i godnem umieszczenia na obrazie, nawet tuż obok osoby świętej. Dzisiaj jest jeszcze tem samem suknia kapłana, mundur żołnierza i one, w znaczeniu przenośnem, nie są prywatną własnością osób, które je noszą. Plama na mundurze żołnierza może być sprawą honoru, gdy się splami marynarka, oddajemy ją poprostu do pralni chemicznej. Dawniej prawie każdy nosił strój, którego nie wolno było plamić(w znaczeniu przenośnem). Dlatego ten czysty ubiór godzien był, by się znaleźć nawet w pobliżu Chrystusa.

WIKTOR PODOSKI

1920 — 1935
ŻYDZI i KSIĄŻKA SOBIESKIEGO

BOLESNE wrażenie zrobiło w społeczeństwie polskiem skasowanie katedry historji nowożytnej, zajmowanej przez znakomitego historyka prof. Wacława Sobieskiego. Powodem stało się dzieło jego, przełożone teraz na język francuski, „Dzieje Polski".

Historja tej książki zainteresuje niewątpliwie czytelników. Pierwotnie „Dzieje Polski" wyszły w trzech niewielkich tomach w Warszawie (wydanie „Zorzy"), ostatni tom nosi datę 1925 r. Autor doprowadził w nim wykład dziejów do r. 1920 włącznie. W r. 1931, w nowej wersji, wydało książkę Tow. Szkoły Ludowej w Krakowie. Tę właśnie, nowszą redakcję „Historji Polski" przełożono na francuski.

Końcowe rozdziały „Dziejów" prof. Sobieskiego są jakby apoteozą Polski w świetle „cudu nad Wisłą". W zwycięstwie nad Bolszewją — pisze Sobieski — „Polska okazała kult — i od tej chwili przełomowej nabrała pewności i zaufania we własne siły. Tak, jak „cud nad Marną" był wysiłkiem woli i energji Francuzów, tak „cud nad Wisłą" był dziełem ofiarności, patrjotyzmu i męstwa Polaków. Nasz żołnierz, jeden z najbitniejszych na świecie — uratował swą ojczyznę. Stał się wówczas jeden wielki cud — cud bezpartyjności. Bitwa warszawska dowiodła, że naród jest jeden, że chce żyć, że żyć musi. Bitwa warszawska wykazała, co znaczy w wojsku postawa moralna żołnierzy. Nasz żołnierz obronił nietylko Polskę, nasz żołnierz zrobił to, czego nie zdołał zrobić w r. 1812 Napoleon, który rzucił zagadnienie, czy Europa ma zostać kozacką" (III, 231).

„Dzieje" Sobieskiego jednak bardzo się niepodobały żydom i Niemcom. Nie podobały im się ustępy, które dla przykładu tutaj przytoczymy:

„Z tej wojny dwu sąsiadujących z sobą narodów cieszyli się — Niemcy i wspierali armję Lenina. Współcześnie komunista niemiecki Lewi na kongresie w Moskwie zapowiadał: „A gdy czerwona armja w walce z białą armją Polski zbliży się do granic Niemiec, to usłyszy z drugiej strony poprzez bagnety okrzyk niemieckiego proletarjatu, okrzyk: „Niech żyje sowiecka Rosja". Wódz bolszewików Tuchaczewskij przyznaje sam dzisiaj: „W Prusach Wschodnich, kiedy otarliśmy się o nie, popłynęły do nas setki i tysiące ochotników, spartakusowców i robotników bezpartyjnych, pod sztandary czerwonej armji, tworząc w niej niemiecką brygadę strzelców. Uczeni niemieccy prorokowali, że czem był dla Niemiec Piotr Wielki w r. 1720, tem będzie teraz dla nich Lenin — „zorzą nowej przyszłości". W dniu przełomowym wydali we Wrocławiu przedwczesne radosne dodatki do gazet, pod tytułem „*Warschau gefallen*" (Warszawa padła).

Niezapomnianą przestrogą, idącą od Bałtyku, będzie dla przyszłych pokoleń naszych, że Niemiec gdański w najniebezpieczniejszej dla nas chwili, już chciał nas chwytać za gardło. Tam, odbita od latarni morskich Helu, Rodzewia, wydzwania fala wieczyste hasło na alarm, na baczność, na przestrogę...

Niezapomnianem będzie również stanowisko tych żydów, którzy witali armję Bronsztajna-Trockiego manifestacyjnie. W czasie cofania się generał Szeptycki trzykrotnie przysyłał do Naczelnego Dowództwa Wojsk Polskich raporty o zdradzie oficerów żydów, zaś pod Radzyminem bataljon wartowniczy, składający się z żydów, przeszedł na stronę bolszewików. Tego rodzaju wypadki sprawiły, że minister spraw wojskowych Sosnkowski wydał rozkaz nieużywania żydów do służby polowej i internowania ich w Jabłonnie. Pozatem z wyroku sądu doraźnego został rozstrzelany za szpiegostwo płocki rabin Chaim Szapira. Wreszcie śród zbiegłych do Śląska Górnego, a następnie wydanych władzom polskim było: dezerterów 202, a w tem żydów 193, uchylających się od poboru wojskowego 411, w tem żydów 398, działających na szkodę państwa polskiego 328, w tem żydów 325".

Opisując fakt zajęcia Wilna przez gen. Żeligowskiego, prof. Sobieski dodaje taką uwagę:

„Jak świadczy Kronenberg (żyd) w książce „Sprawa wileńska a syjoniści" 1922, nazajutrz po zajęciu Wilna, prasa syjonistyczna nietylko zagraniczna, ale i warszawska z oburzeniem pisała o „gwałcie" Żeligowskiego, a organ centralnej organizacji syjonistycznej „*Hajnt*" zajął wyraźnie wrogie stanowisko, nazywając czyn Żeligowskiego „okupacją" Wileńszczyzny. Podczas gdy żydów Żeligowski traktował w Wilnie spokojnie i Polacy szukali porozumienia z żydami wileńskimi — prasa żydowska w Ameryce zamieszczała wiadomości, że „bandy gen. Żeligowskiego strzelają z kulomiotów na ulicach Wilna do ludności miejskiej, która walczy z temi bandami". Naogół żydzi w sporze o Wilno stali bardzo żarliwie po stronie Litwy kowieńskiej, sądząc, że w niej będą odgrywać rolę pierwszorzędną. W tym kierunku starali się wpływać już na konferencji paryskiej na Lloyda George'a" (III, 233).

Jak nas informują, po ukazaniu się książki prof. Sobieskiego w języku francuskim, jeden z dygnitarzy żydów w Paryżu, korzystający z dużych wpływów w sferach politycznych, narobił alarmu, oczywiście kierując uwagę na inne miejsca w książce, opacznie je komentując i oskarżając autora o nielojalność wobec czynników decydujących.

Pokazuje się, że uczeni mogą stawać się ofiarami swego zawodu nietylko w medycynie i chemji. Prof. Sobieski uległ zakażeniu wskutek dotknięcia żydów. W.

NA MARGINESIE

W sferach sanacyjnych, jak mówią, silnie agitowana jest myśl, aby katedrę historji współczesnej, kreowaną obecnie w Uniwersytecie Jagiellońskim na miejsce skasowanej katedry prof. Wacława Sobieskiego, rozbudować na dwie katedry: 1) prehistorji (1905 — 1925) i 2) historji właściwej (1926—1935). Pierwsza obejmowałaby dzieje walk niepodległościowych, druga—walk podległościowych.

Otwierają się więc dwie posady.

•

Kapitalny wypadek zdarzył się podczas debaty w Senacie nad budżetem ministerjum Spraw Zagranicznych. Sen. Bartoszewicz postawił proste, ale brzemienne zainteresowaniem społeczeństwa polskiego, pytanie, z kim właściwie Polska idzie do swych przeznaczeń — z Francją czy z Niemcami? Zamierzenia rządu są konspirowane, — mówił — pozostawałoby więc oprzeć optymizm na zaufaniu do rządu, a my tego zaufania nie mamy.

Przyparty do muru przedstawiciel ministerjum nie odrzekł słowa. W tym dramatycznym momencie wypchnięty został na mównicę sen. Wojciech Rostworowski, ten, który w imieniu Rady Regencyjnej w r. 1918 negocjował pokój między Niemcami i Rosją kosztem Polski. Przemówienie jego miało znaczyć:

— Nie macie zaufania do Rządu, niechże was przekona moje zaręczenie.

Tragikomedja!

•

W sprawozdaniach z dyskusji w Senacie zwrócił powszechną uwagę fakt następujący:

Senator Dobrzyński mówił o położeniu rzemiosła. Dopóki krytykował rząd za niepożądaną ingerencję w sprawy cechów, wszystko szło gładko. Jedynie, gdy wypowiedział słowa: „partacze żydowscy", marszałek Raczkiewicz powstał i skarcił mówcę upomnieniem.

Bardzo znamienne!

•

Profesor i dyrektor departamentu w ministerstwie oświaty, J. St. Bystroń ogłosił ostatnio obszerny tom, poświęcony zwalczaniu „megalomanji narodowej"... „Megalomanja narodowa" jest dzisiaj u nas uznana za grzech najszkodliwszy, wszystko współdziała, aby wyplenić i zohydzić w oczach społeczeństwa tę wstrętną wadę. Za rzecz szanowną uznane jest tylko pielęgnowanie megalomanji... osobistej. Ileż energji, ileż wysiłków poświęca się w czasach dzisiejszych jej kultowi!...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM